

WYBRZEŻA RENU



02/20



# WYBRZEŻA RENU.

WRAŻENIA I WSPOMNIENIA  
Z PODRÓŻY.



WARSZAWA.

Nakładem **S. H. Merzbacha**, Księgarza.

1849.



WYBRZEŻA RENU.

WYBIELEŃA RYMU





# PANORAMA OF THE RHINE

from  
MAYENCE  
TO  
COBLENTZ

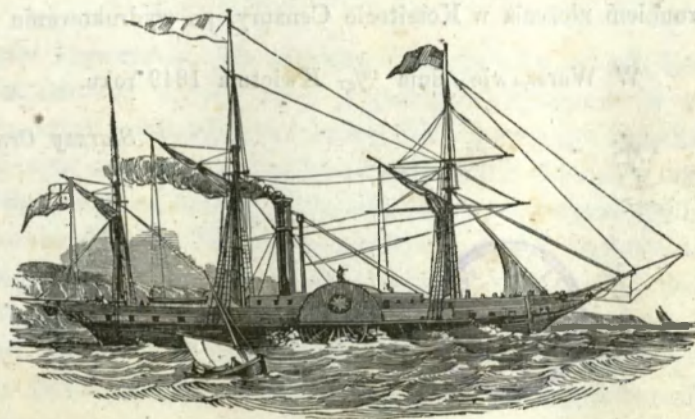
the  
SIEBENBURGER  
AND  
COLOGNE



In 60 Views.  
Exhibiting both Banks of this beautiful River.  
On 20 Plates.

# WYBRZEŻA RENU.

## WRAŻENIA I WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.



WARSZAWA.

Nakładem **S. H. Merzbacha**, Księgarza.

1849.

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55  
tel. 22 69-78-773



Wa5150427

wydawnictwa od 1816 - 1860

<http://www.cbgios.pl>

B

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby  
exemplarzy.

W Warszawie, dnia 15/27 Kwietnia 1849 roku.

*Starszy Cenzor,*

**L. T. Trippin.**



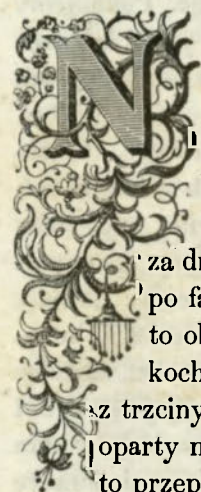
41595

W Drukarni St. Strąbskiego.

# WYBRZEŻA RENU.

I.

## R E N.



Nie pojmie nigdy inny naród, jak głęboką cześć Niemcy oddają Renowi. Dla nich Ren jest bóstwem opiekuńczem: oprócz karpia i pstrągów żywiącym w wodach swoich mnóstwo Najad, Ondyn, złych i dobrych gieniuszów, które poetyczna imaginacya mieszkańców widzi za dnia w białawej mgle, unoszącej się nad jego niebieskimi wodami, w nocy spotyka — to płasające po falach, to siedzące cicho na brzegu. Dla nich Ren jest ogólnym symbolem: Ren to siła, Ren to obrona, Ren to niezależność. Ren ma namiętności człowieka a raczej boga mitologicznego. Ren kocha i nienawidzi, pieści i druzgoce, niesie pomoc lub zniszczenie. Wody jego, to miękkie łożo z trzciny i lilij, na którym spoczywa jako spokojny starzec, uwieniczony koroną wodnych roślin, oparty na przewróconej urnie, jak bóg pogański, przyjmujący łaskawie przychodnia. Dla innych to przepaść bezdenna, zaludniona straszniemi oku poczwarami, podobna do głębi, która połknęła nurka Szyllerowskiej ballady:

„I wre i kipi i huczy i pryska  
Jakoby woda gdy się z ogniem zetrze.“

Ten wody jego równa z gładkiem zwierciadłem; suchą nogą przejść po nich można, byle mieć wiarę, wiarę co góry z miejsca na miejsce przenosi. Drugim jego bieg spieszny, rwiący, przypomina bałwany morza

Czerwonego, które pożarły wojska Faraona. Jest on przedmiotem bojaźni lub nadziei, symbolem nienawiści lub miłości, zasadą życia lub śmierci, a zawsze źródłem poezji.

Pomiędzy Moguncją i Kolonią najliczniej to kupią się podania. Pomiędzy miastami owemi spotykamy najzupełniejsze przeciwieństwa, widoki najbardziej oko pieszczące i najbardziej ponure. Tam to, odniosłszy zwycięztwo nad wzgórzami, które powoli odpychają go od siebie, Ren rozlewa się w leniwym biegu jak szerokie jezioro; to znów zwyciężony, ściśnięty, skrępowany granitowym łańcuchem, napróżno bitym jego bałwanami, skupia się, krąży, wije jak wąż walczący, a w swój niemocy jeszcze grozi uciekając. Pojmujemy więc, że, według różnego charakteru brzegów, rybacy na nich mieszkający, których barki on pieści łagodnie lub druzgoce, uważają go za bóstwo opiekuńcze lub za zły gieniusz; tu składają mu dzięki jak ojcu, tam błagają jak potężnego nieprzyjaciela.

Prawda, że od czasu wprowadzenia statków parowych, Ren wiele stracił z dawnego uroku. Te straszidła przyswojone, rzucające, jak smoki starożytne, ogień i dym w przebiegu, dla których niema ni raf, ni przepaści, które w górę rzeki pędzą szybciej jak zwykły statek w dół jej za nurtem płynie, wypędziły powoli palacem technieniem i uderzeniami pletw żelaznych karpie, pstrągi, Najady, Ondyny, gieniusze. Wszystko uciekło w taki sposób, że dziś, chcąc jeść rybę smażoną lub usłyszeć balladę, spieszyć musimy na Men lub Nekar dla pierwszej, a drugiej szukać w krajach, gdzie nie słyszano jeszcze o gieniuszu Fultona. Wycieczki podobne mordują wprawdzie więcej, ale też przedmiot im droższy tém rzadszy. Niejeden, żeglując Renem, przy obiedzie musiał poprzestać na kotletach lub jajach na miękko, i nieraz mniej jeszcze był szczęśliwym pod względem ballad. Zresztą, wyjąwszy ryb, które w tej chwili na Renie przeszły w stan mitu, zamieniły się w hieroglif, w marzenie — wszystkie środki przedsięwziętymi zostały przez administracye współzawodniczących parostatków, ku jak największemu zadowoleniu podróżnych. Raz zapłaciwszy miejsce z Kolonii do Moguncyi, a nawet z Rotterdamu do Strasburga, można podróż tę odbyć w sześciu dniach podług woli; wysiadasz w każdej przystani, odpływasz podobnie; przybywasz, życzliwie cię witają, odjeżdżasz, wesole pożegnanie cię czeka. Twój bilet raz zapłacony jest jak weksel, a viso wypłacalny przez każdy przepływający statek tejże administracyi.

Z jeziora Toma strumień wypływa, na wschodniej pochyłości St. Gotarda się toczy; inny strumień wybiega ze stóp góry Lukmanierberg; trzeci kroplami sączy się z lodziska i spada po skałach z wysokości tysiąca stóp. W piętnastej mili od swego źródła, te trzy strumienie kupią się w jeden około Reichenau; tu pomiędzy dwoma murami z granitu Ren bierze początek; kilka kroków dalej w Andeer, starej wiosce Romańskiej, spotyka wspomnienia Karola Wielkiego; w Coire, dawniej Curia, wspomnienia Druzusa; w Feldkirch wspomnienia Masseny; wartko, niby poświęcony na los, jaki go czeka, tym potrójnym chrztem Rzymu, Germanii i Francji, płynie dalej, przebiega góry i lasy, okrąża tył gór Jura, dotyka Wogezów, przerywa łańcuch zagasłych wulkanów gór Taunus, skrapia płaszczyzny Fryzji, zalewa i topi nizkie doliny Hollandji, a wyźłobiwszy w skałach, ziemi, lawie, piasku i trzcinie kręte łożysko dziewięćdziesięciu kilku mil, przyjmawszy w swój nurt dwanaście tysięcy rzek, rzeczek, strumieni i strumyków, obmywszy mury stu czterechmiast, rozgraniczywszy siedm ludów, tocząc w swych pienistych wałach odgłos historii trzydziestu wieków i trzydziestu narodów, ginie w morzu.

Trzy strumienie wypływając z jeziora, tworzą rzekę historyczną; trzech pasterzy nad jeziorem tworzą historyczny naród w tychże samych górach Helwecji.

Ren przedstawia w swej jedności niesłychaną rozmaitość. Szeroki i wązki, siny i przejrzysty, rwiący i powolny, ponury i wesoły, tchnie wspaniałą wesołością właściwą wszystkiemu co wielkie. Pod Schathuzą jest potokiem; pod Laufen przepaścią; zamienia się w rzeczkę w Sickingen; w rzekę w Moguncji; jeziorem w St. Goar się staje, a pod Lejden w bagno się przemienia. Patrzmy na drzewo w zimie z liści obrane, myślą drzewo to połóżmy na ziemi, w oczach przedstawi nam ono obraz rzeki z góry widzianej. Pień to sama rzeka; grubsze gałęzie to mniejsze jej siostry do niej wpadające; gałązki i odziomki, to strumienie i źródła; rozszerzenie przy ujściu korzeń przedstawi. Na karcie geograficznej wszystkie rzeki, to drzewa dzwigające miasta, jużto na końcu gałęzi jak owoce, jużto pomiędzy gałęziami jak gniazda. Jeżeli myślą postawimy na ziemi prostopadle niezmierny rysunek Renu, rzeka ta z wpadającymi doń pod kątem prostym innemi, przybiera kształt dębu, a niezliczone strumienie przy ujściu są jak korzenie z ziemi ogołoczone.

Najsławniejsza jego cześć, najbardziej podziwiana, najbogatsza dla geologa, najciekawsza dla historyka, najważniejsza dla polityka, najpiękniejsza dla poety, ciągnie się od Bingen do Koenigswinter; w niej zawartą jest droga z Moguncyi do Kolonii, którą każdy z podróżujących w tej stronie odbyć musiał.

Któż rzek nie kocha? one toczą po swych bałwanach idee równie jak towary. W stworzeniu wszystko odgrywa szczytną rolę. Rzeki, niby olbrzymie trąby, grają oceanowi pieśń o piękności ziemi, o uprawie roli, o świetności miast, o sławie człowieka. W tym wielkim chórze, Ren zajmuje wielkie miejsce; porównywając go z inną, mniej może ważną chociaż równie piękną rzeką, której rwiący nurt z szumem i hukiem toczy się nieraz pomiędzy dwoma rzędami skał, rzec możemy, że Ren to lew, kiedy Rodan tygrysa przypomina. Ren jest gwałtowny i szlachetny ale bez wściekłości, dziki i uroczy zarazem.

Całe dzieje Europy kresli nam widok tej wielkiej rzeki, rzeki wojowników i myślicieli; duch widuje ich ślady w tych pysznych bałwanach, które przemawiają do Francuza, w tym głębokim szumie, wywołującym marzenia Niemca. Ren jednoczy w sobie wszystko. Jest wartkim jak Rodan, szerokim jak Loara, krętym jak Sekwana, przejrzystym i zielonym jak Somma, historycznym jak Tyber, królewskim jak Dunaj, tajemniczym jak Nil, toczy piasek złoty jak rzeka Ameryki, zaludniony podaniami i marami jak rzeka Azyi.

Nim zaczęto pisać historię, może nim człowiek żył na ziemi, w miejscach, któremi dziś Ren płynie, dwa łańcuchy wulkanów rzuciły dym i płomień, po wygaśnięciu zostawiając dwie masy lawy i bazaltów, uszykowane równolegle jak dwa mury. W tej samej epoce olbrzymią krystalizację stanowiącą góry pierwotne, uzupełniały się, a wielkie napływy formujące góry drugiego rzędu, wysychały; straszliwe ognisko, które my Alpami nazywamy, stygło powoli; śniegi gromadziły się w massie na tych górach, a wielkie potoki, z ich stopienia wynikłe, rozlały się po Europie; jeden z nich, tocząc się po spadzistości północnej, napotkał podwójne mury bazaltów, wyrył sobie pomiędzy nimi łożysko i ku oceanowi podążył; drugi, z zachodniej strony wybiegły, okrążył tę masę wulkanów, które my nazywamy górą Ardeche, i zginął w morzu Sródziemnym. Pierwszy z tych wypływów nazywa się Renem, drugi Rodanem.

Pierwszemi ludźmi, których historia nad brzegami Renu spotyka, byli Celtowie, na rozmaite pokolenia rozdzieleni. Dalej Rzym się zjawił i Cezar przeszedł Ren. Druzus wybudował swoje pięćdziesiąt



cytadel, konsul Maxentius Plancus, Martius Vipsanius Agrippa wznosił twierdzą przy ujściu Menu i powoli Ren stał się rzymską rzeką. Kiedy dwudziesty drugi legion, który obozował w lesie oliwnym, gdzie Chrystus cierpiał, wrócił z oblężenia Jeruzalem, Tytus posłał go nad Ren. Legion ów dalej prowadził dzieło Agryppy, a Mogunciacum, później powiększone i upiększone przez Trajana i Adryana, z rąk jego wyszło powoli. Jak łańcuch, którym skrepowano rzekę, rozciągała się ta linia długa i potężna kolonij rzymskich, przez którą zbrojny wóz germański nie śmiał przechodzić.

Gdy nadeszła chwila przerodzenia się Rzymu, napływ ludów północy ku południowym strefom, którym Opatrzność naznacza wybrane przez siebie godziny w życiu narodów, zalał miasto Cezarów. Wojenna i granitowa tama twierdz Renu tym wylewem przerwaną została; wtedy na szczytach gór nadreńskich sterczały ruiny zamków rzymskich, jak dziś sterczą ruiny zamków feudalnych. Karol Wielki je odbudował, stawiając w nich zaporę hordom germańskim pod innem mianem za Ren się tłoczącym. Ale pomimo całego gieniuszu, całej swej woli, Karol Wielki nadał tylko galwaniczne życie zeszlęmu skieletowi. Stary Rzym umarł a postać Renu zmieniła się.

Już za władztwa Rzymian, chrześcijaństwo, ten boski orzeł, który zaczynał rozwijać swe skrzydła, uwił w tych skałach dla siebie gniazdo, obejmujące świat cały. S. Krescencyusz, S. Apolinary, S. Marcin biskup z Tours, S. Maternus, S. Eucharius, S. Gozelin walczyli z pogaństwem, szerząc naukę boską. W Trewirze nawet wielu mniej znanych chrześcijan padło śmiercią męczenników; w przedsionkach pałacu prefekta Galii ich popioły na wiatr rzucono; ale popioły te nasieniem były. Ziarno leżało w glebie, ale przez czas wędrówki barbarzyńców nie rozwijało się; owszem cywilizacja jakby zapadała, łańcuch pewnych podań został zerwanym, historia nikła z przed oka, wypadki i ludzie, którzy w tej epoce Ren przebywali, suwają się jak cienie, rzucając zaledwie na rzekę odbłask fantastyczny, a ten, ledwo postrzeżony, znika natychmiast. Ztąd dla Renu po epoce historycznej — peryod cudowności.

Imaginacja człowieka, podobnie jak natura, nienawidzi próżni; gdzie niknie natura ludzka, tam przemawiać zaczynają gniazda ptasząt, tam szemrzą liście drzew, tam słyszysz tysiączne głosy samotni. Gdzie kończy się pewność historyczna, tam wywołuje ona cienie, marzenia, pozory. Podania rosną, krzewią

się, kupią w szczybach zwaliska budowy historycznej, jako bluszcze na gruzach zburzonego zameczyska. Cywilizacja podobna do słońca, ma noce, dnie i zaciemnienia, znika i zjawia się znowu.

Jak tylko brzask jej zaświtał na szczytach gór Taunus, na brzegach Renu posłyszano cudny dźwięk legend i ballad; w całym okręgu, oświetlonym tym promieniem odległym, nagle zajaśniały postacie nadnaturalne i wdzięczne, kiedy w ciemnych sferach krążyły mary potwór straszliwych i potężnych. Wówczas, gdy budowano nowym bazaltem obok zwalisk rzymskich, dziś znikłych, zamki saksońskie i gotyckie, które dziś są także tylko ruiną, po łożysku Renu krążyła cała ludność istot fantastycznych, zostających w bezpośrednim związku z pięknymi dziewczętami lub rycerzem walecznym. Oready zaludniły lasy, Ondyny zabrały wody, Gnomy zamieszkały wnętrza ziemi, duch skał osiadł w kopalniach, czarny strzelec jeździł po drogach na jeleniu z rogami o szesnastu gałęziach, wróbel zadawał zagadki, kruk śpiewał, sroka opowiadała historię swej babki, Ewarard brodaty wskazywał drogę księżętom zbłąkanym na polowaniu, Sigfryd rogaty maczugą tępił smoki po jaskiniach, djabeł kładł kamień węgielny Teufelsteinu (djabli kamień), kuł twardą drabinę w Teufelsleiter, a zdaleka od Wisper wiatr przypędzał chmury małych wieszczek, nie większych jak koniki polne. Mitologia, zaszczerpiona na świętych legendach, wywołała tutaj owo dziwne zjawisko, ów fantastyczny kwiat imaginacji człowieka. Djabeł Urią przeszedł Ren pod Diseldorfem, niosąc na plecach wielką skałę zwiniętą we dwoje jak worek; zabrał ją na brzegu morza pod Lejdą, by zniszczyć Akwiskrain, ale, zmęczony i oszukany przez starą kobietę, puszcza ją przed bramami cesarskiego miasta, a dziś ta skała nazywa się Loosberg. Podwójne podanie o Echo i Hylasie osiadło w strasznych skałach Lurley. Hattona, złego biskupa, jedzą myszy.

W tej epoce, pogrążonej dla nas w cieniu, w którym tylko małe światełka błyskają, w owych to górach, lasach, dolinach słychać tylko zjawienia, cuda, dziwne spotkania, polowania szatanów, tajemnicze dźwięki harfy, melodyjne śpiewy niewidzialnych śpiewaków, straszliwe śmiechy niedostrzeżonych przychodniów. Dalej, spieszą bohaterowie ludzcy, prawie tak fantastyczni jak istoty nadnaturalne, Kunon von Sayn, Sibo von Lorch, dzielny miecz, Gryzo poganin, Attlich książę Alzacyi, Tasylo książę Bawaryi, Samo król Wendów. Każdy z nich napół tylko żyje życiem zwyczajnem, resztę fantastyczności zostawiając. Błądzą

oni na ciężkim rumaku, w towarzystwie wiernego charta, po lasach, nie lękając się larw, które z za drzew patrzą na nich, spotykając to czarnego węglarza przy ogniu; — węglarz ten zaś jest szatanem gotującym w kotle dusze zmarłych; to nagie nimfy cudnej piękności — które im dają szkatuły brylantów pełne; to karłów starych — które im wracają siostrę, żonę lub narzeczoną, uspioną na łożu ze mchu usłanem, w głębi grotu wysłanej koralem, kryształem i muszlami.

Pomiędzy temi postaciami fantazyi zjawiają się postacie historyi, a najprzód Karol Wielki i Roland. Karol przechodzi każdy wiek człowieka, jest dziecięciem, młodzieńcem, starcem; legenda miejscem jego urodzenia wskazuje chatę węglarza w Czarnym Lesie. Według niej, Roland nie zginął przy Roncereaux pod ciosami całej armii, ale usechł z miłości naprzeciw klasztoru Nonnen-Werth. Dalej, Cesarz Otton, Fryderyk Barbarussa i Adolf von Nassau. Te figury historyczne połączone w legendzie z osobami cudownymi: to podanie faktów rzeczywistych wyzierające z za marzeń fantazyi; to historia powoli przebijająca się przez bajki; to ruina wyglądająca zpod liści i kwiatów.

Ale cienie znikają, baśń ustępuje z pola, dzień zajaśniał, cywilizacya się wyrabia, z nią historia górę bierze.

Oto czterech ludzi zjeżdża się z czterech stron różnych, od czasu do czasu: zasiadają koło kamienia tuż przy brzegu Renu pomiędzy Rhens i Kapellen i tam mianują lub zrzucają cesarza Niemiec. Ci czterej ludzie to czterej elektorowie; ten kamień, to królewskie krzesło (Koenigs-Stuhl); wybrali miejsce prawie środkowe doliny Renu, Rhens należący do elektora kolońskiego: widać tam od zachodu kraj elektora Trewiru, od północy ziemię elektora Moguncyi, a z drugiej strony Braubach jest własnością elektora Palatyna. Każdy z nich w godzinę może wrócić do państw swoich.

Z swej strony co rok, pod pozorem uroczystości, w dzień Zielonych Świątek, obywatele znaczniejsi Koblencyi i Rhens zbierają się i radzą o pewnych tajemniczych sprawach; to początek gmin i obywatelstwa, powoli podkopujący budynek feodalności germańskiej już wzniesionej. Niedaleko w Stoltzenfels, Werner, arcybiskup Koloński utrzymuje od 1380 do 1418 r. alchemików szukających złota, którzy po drodze do

kamienia filozoficznego, wynajdują niektóre wielkie prawa chemii. Tak więc w krótkim czasie, prawie w jednym miejscu wzrasta i rozwija się: cesarstwo, obywatelstwo i nauka.

Odtąd Ren przybrał postać razem religijną i wojskową. Opactw i klasztorów liczba powiększa się, kościoły, na bokach gór budowane, łączą z zamkami, na ich szczycie wzniesionymi, wioski i miasteczka u stóp leżące; za każdym zagięciem powtarza się ten dziwny obraz, wskazujący położenie kapłana w społeczeństwie. Książęta duchowni wnoszą budowy religijne nad brzegami Renu, jak kiedyś Rzymianie swe kolonije. Posiadają oni razem władzę duchowną i świecką, a ztąd podwójny wymiar sprawiedliwości.

Znowu elektor Palatyn czuje potrzebę oparcia się nieustającemu rozszerzaniu trzech elektorów Kolonii. Trewiru i Moguncyi. Zakony rycerskie zajmują także swe stanowisko. Krzyżacy osiadają w Moguncyi, a kawalerowie Rodyjscy w Martinshof koło Trewiru. Z Moguncyi krzyżacy rozciągają się do Koblenz i zakładają tam komandoryę. Templaryusze, będąc już panami w Courgenay i Porentruy w biskupstwie Bale, posiadają Boppart i St. Goar nad Renem, a Trarbach pomiędzy Renem i Mozellą.

Kiedy tak książęta, biskupi i rycerze zakonni zakładali zamki, klasztory i komandorye, handel rzucił podstawy swych kolonij. Na wzór Koblencyi wznosi się mnóstwo małych miasteczek handlowych, od Moguncyi poczynając ku północy za biegiem Renu i dalej w głąb na rzekach doń wpadających.

Jednakże pomiędzy temi górami duch czasu wywołał dziwny rodzaj władców; każdy szczyt nad brzegiem Renu miał swój zamek (Burg) i swego burgrafa. Ci straszliwi baronowie feudalni nadreńscy, owoc natury surowej i dzikiej, w swych wieżach warownych otoczeni tylko służbą wojenną, żyjący z grabieży, potężni, koło siebie, ale tam prawie wszechmocni, panowali nad doliną, pobierali na drogach opłaty od kupców, zamykali Ren łańcuchami, i napadali zuchwale miasta sąsiedzkie, jeżeli te ośmielały się im uwłaczać. W ten sposób to burgraf von Okenfels wyzwiał silną gminę Linz, a Hlausner von Hagan cesarskie miasto Kauf.

Niekiedy w tych dziwnych pojedynkach miasta nie czuły się dość silnemi, przestraszone wzywały pomocy cesarza; burgraf w doroczną uroczystość patrona miasta jechał na tarczowe turnieje na osie swego młynarza. Podczas straszliwych wojen Adolfa de Nassau i Dezyderyusza von Isemburg, niektórzy z tych burgrafów posuwali zuchwałość aż do rabowania przedmieść Moguncyi, pod okiem obu walczących





Favorite.

Citadelle.

Mainz

— L B



Rhine Allee.  
Avenue de Rhin

Fort Hartenbach, named Gibraltar.  
Fort Hartenbach, nom. Gibraltar

Ammoniac Works.  
Fabrique de Sel  
Ammonia

Brick-Kiln  
Tuilerie

— L.B.



Mombach.

Bodenheim.



Castel

Kostheim Mouth of the Main  
Cofluent du Mein Hochheim



Bieberich

Taunus Mountains  
Le Taunus

Fort Montebello

Castel



Schierstein

Die Platte  
Hunting Castle of the Duke of Nassau  
Chateau de chasse de Nassau

Bieberich





pretendentów. Byłto właściwy im sposób zachowania neutralności. Dopiero za Maxymiliana I-go, gdy wielki wódz cesarstwa, Jerzy von Frondsberg, zburzył ostatnie wieże Hohenkrachen, zginęło to plemię drapieżnej szlachty, rozpoczęte w dziesiątym wieku przez burgrafów bohaterów, a zakończone w szesnastym przez burgrafów rozbójników.

Ale nad brzegami Renu dojrzywały także wypadki, których skutki objawiły się dopiero po latach wielu. W wieku czternastym niedaleko, w Nüremberdze, pierwszy raz użyto artylleryi; w piętnastym wieku nad jego własnymi brzegami w Strassburgu druk poznano. W r. 1400 w Kolonii ulano sławną kulewrynę (rodzaj dział) na czternaście stóp długą. W r. 1472 Windelin ze Spiry wydrukował biblią. Nowy świat się otworzył, nad brzegami to Renu przybrały nową formę te dwa tajemnicze narzędzia, któremi Bóg pracuje nad cywilizacją człowieka: działo i książka, wojna i myśl.

Ren w losach Europy ważną odgrywa rolę. Jestto wielka fossa poprzeczna, oddzielająca północ od południa. Opatrzność zrobiła ją rzeką granicą, twierdze zaś rzeką murem. Ren widział twarze i odbijał cienie prawie wszystkich wielkich ludzi wojny, którzy od trzydziestu wieków zorali ład stary tym straszliwym pługiem miecza. Cezar przeszedł Ren, idąc od południa; Attylla przebył go dążąc od północy. Klowis wygrał nad nim bitwę pod Tolbiakiem. Karol Wielki i Bonaparte tam panowali. Cesarz Fryderyk Barbarussa, cesarz Rudolf habsburgski, Palatyn Fryderyk I, nad nim zarabiali na wielkość. Gustaw Adolf kierował z Kaub swemi armiami. Ludwik XIV widział Ren, Turenusz go przebywał, Druzus ma swój kamień w Moguncyi, jak Marceau w Coblenz, a Hoche w Andernach.

Dla historyka czującego życie dziejów dwa wielkie orły zawsze unoszą się nad Renem, orły legionów Rzymu, orły pułków Cesarstwa.

Tak więc Ren liczy cztery peryody, przybiera w swej historii cztery postacie zupełnie różne od siebie: pierwszy, epoka przedpotopowa wulkaniczna; drugi, epoka dziejów starożytnych, walka Germanii z Rzymem — tej gwiazdą Cezar; trzeci, epoka cudowności — w tej jaśnieje Karol Wielki; czwarty, walki Niemiec i Francyi — nad tą panuje Napoleon. Wszystkie starania historyka - pisarza, by uniknąć powtarzań, próżne:

gdy przyjdzie mu przebiegać dzieje Europy od końca do końca, Cezar, Karol Wielki i Napoleon, zawsze tam stoją jako trzy niepożyte słupy, wskazujące kierunek wiekom.

Ren, rzeka ręką Opatrzności rzucona, zdaje się także rzeką symboliczną. W spadku swym, w biegu, brzegach które oblewa, jest jako obraz cywilizacji, której oddał tyle usług, której tyle ich odda jeszcze. Płynie od Konstancyi do Rotterdamu, z kraju orłów do kraju śledzi, z grodu papieżów, koncyliów, cesarzów do kantoru kupców i mieszczan, od Alp do oceanu; jak ludzkość, która zstąpiła z idei wysokich, niewzruszonych, niedostępnych, świetnych, do zasad rozległych, zmiennych, burzliwych, pożytkiem tchnących, niezgłębionych, wszystko niosących i unoszących, użyzniających i trawiących.

## II.

# FRANKFURT.



Przybywający od wschodu dla zwiedzenia brzegów Renu, spieszą najprzód do Frankfurtu, podróżni zachodu zaczynają od Antwerpii. Ci płyną w górę, tamci w dół rzeki, tych wita miasto nad Skaldą, tamtych nad Menem.

Szczegółowy więc opis okolic Renu zaczniemy od Frankfurtu, kiedyś grodu cesarłów, dziś miasta jarmarków; kiedyś brzmiącego okrzykami świetnych orszaków elektorów, dziś słuchającego z pokorą rozkazów Rotszylda.

Frankfurt po niemiecku znaczy *bród wolny*; tradycya ludów tłumaczy zaś bród Franków. Karol Wielki, według Ditmara Merzburgskiego, pobity i naciskany przez Saksonów, napróżno szukał wśród mgły brodu na Menie. Pobożny cesarz, oparty na włóczni, na kolanach modlił się gorąco; potęga modlitwy rozpędziła mgłę, cesarz ujrzał łanie, która brodem rzekę przebyła; tym śladem przeprowadził swych rycerzy, i uderzywszy o brzeg włócznią, nazwał to miejsce brodem Franków. Tu wybudowano zamek, a pierwsze ślady miasta spotykamy w r. 794, z powodu odbytego tam konsylium. Zamek Karola Wielkiego znikł jednak zupełnie, na jego fundamentach tylko stać ma dziś kościół świętego Leonarda. Aż do wygaśnięcia dynastyi Karolowingów, Frankfurt był stolicą wschodniego państwa Franków. Trzej Ottonowie otoczyli go murami, od r. 1152 wybierano w nim cesarłów niemieckich, w r. 1356 wydano

w nim tak zwaną bullę złotą, która służyła za prawo zasadnicze cesarstwu. Dotąd zachowuje się ona w archiwach miejskich, nazwisko jej od sztaby złota pokrywającej pieczęć. W dwa wieki po niej nietylko obierano ale i koronowano cesarzów w Frankfurcie. To ważność miasta podniosło.

Frankfurt jako miasto cesarskie rządził się jak mógł, dopóki, bombardowany przez Francuzów, oddany przez Napoleona księciu prymasowi Karolowi de Dalberg, nie został stolicą wielkiego księstwa Frankfurckiego. Nareszcie w dniu 9 czerwca 1815 r., akt kongresu niemieckiego zrobił Frankfurt stolicą sejmuryzacji niemieckiej i miastem wolnym. Dzięki tej nowej ustawie, Frankfurt ma jedną czwartą część głosu w sejmie rzeszy, resztujące zaś trzy czwarte należą do Lubeki, Hamburga i Bremen. Za to musi utrzymywać 750 ludzi na rozkazy rzeszy, i bić z dział w rocznicę bitwy lipskiej. Wprawdzie miasto od roku 1808 nie ma wałów, od r. 1813 nie posiadało dział, ale urządzono składkę w chwili zapału, kupiono dwie czterofuntówki, i spokojny Frankfurt wypełnia ten huczny obowiązek dla honoru Niemiec z sumiennnością prawdziwie kupiecką.

O wałach już dziś niema mowy: w miejsce starych murów i błotnistych foss, urządzono pyszny ogród angielski, pełen wdzięku i woni. Obiega on miasto wieńcem pysznych drzew i alei starannie wyspanych; a Frankfurt z swemi domami pomalowanemi białą, różową lub zieloną, wygląda jak olbrzymi bukiet kamelii otoczony liściami świeżym. Wśród tego wonnego labiryntu wznosi się nagrobek burmistrza, któremu miasto winno tę ozdobę.

Najważniejszym pomnikiem historycznym Frankfurtu jest sala cesarzów, dziś sala senatu. W sali tej spotykamy portrety wszystkich cesarzów od Konrada do Leopolda II. Dziwnym losu zrzędzeniem jej architekt zrobił tyle framug, ilu miało być cesarzów niemieckich. Po obiorze Franciszka II, nie było już miejsca dla nowego cesarza. Bitwa Wagramska wybawiła dworaków z trudności.

Od Konrada do Ferdynanda I, od 911 do 1556 r., koronacja cesarzów odbywała się w Akwisgranie; Maxymilian II w r. 1564 pierwszy koronował się w Frankfurcie. Po ceremonii w kościele św. Bartłomieja nowo wybrany w towarzystwie elektorów wracał do ratusza i wchodził do wielkiej sali. Elektorowie Trewiru, Moguncyi i Kolonii stawali u pierwszego okna.





Kertels oder Ellfelder Aue.



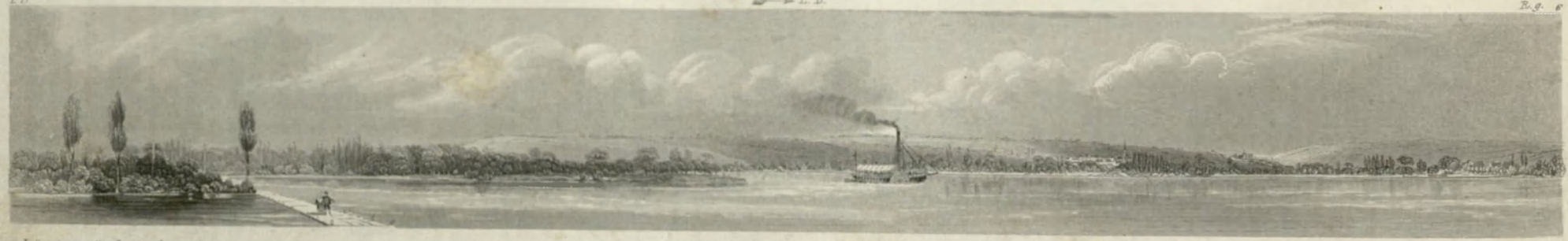
Kertels oder Ellfelder Aue.

Heidesheim. Wackersheim.

Heidenfahrt.

Rhein Aue.

Längenwärther Aue.



Längenwärther Aue.

Rhein Aue.

Niederingelheim.

Oberingelheim.

Freiweinheim.



Ellfeld. Hôtel de la Rose  
 Maison de plaisance du C. de Elz  
 Country seat of Count of Elz

Freihof

Steinheimer Hof

Niederwalluf



Hattenheim

Längenwärther Aue

Country seat of Count of Westphalia  
 Maison de plaisance  
 du C. de Westphalen  
 Erbach

Kidrich  
Scharfenstein

Draiserhof

Country House  
 of Mr. Langer,  
 Maison de plaisance  
 de Mr. Langer.

Country seat of Baron  
 v. Vrints - Treuenfeld,  
 Maison de plaisance du  
 b. de Vrints - Treuenfeld.

Ellfeld



Lange Winkel

Mittelheim

Oestrich

Richardshausen





W drugiem oknie stawał cesarz w płaszczu cesarskim na barkach, z koroną na głowie, z jabłkiem i berłem w ręku.

Trzecie okno zajęto baldachinem, pod którym stał arcybiskup z duchowieństwem.

Czwarte przeznaczono posłom Czech i Palatynatu.

Piąte elektorom Saksonii, Marchii Brandeburskiej i Brunszwiku.

Za ukazaniem się majestatycznego orszaku plac cały grzmiał okrzykami.

Na środku placu piekł się wół cały, z jednej strony wznosiła się fontanna z orłem dwójgłównym, który wyrzucał dziobem czerwone i białe wino; z drugiej kupa owsa wysoka na trzy stopy.

Za ukazaniem się cesarza uderzono w trąby, wielki marszałek wyjeżdżał konno, po popręg wprowadzał swego rumaka w owies, napełniał ziarnem srebrną czarę i przedstawiał ją cesarzowi. To znaczyło że stajnie są opatrzone.

Znów trąby zagrzmiały i wielki cześnik wyjeżdżał konno na plac, napełnił winem dwa kubki srebrne u fontanny i podawał je cesarzowi. To znaczyło że piwnice są pełne.

Tu po raz trzeci trąbiono, a wielki krajezy konno podjeżdżał do wołu, krajał sztukę i przywoził ją cesarzowi. To znaczyło że kuchnie niepróżne.

Nareszcie za czwartém uderzeniem w trąby wyjeżdżał wielki podskarbi, trzymając w ręku worek z monetą srebrną i złotą, którą rozrzucał ludowi. To znaczyło że skarb jest bogaty.

Powrót wielkiego podskarbiego był hasłem walki pomiędzy ludem o wino, owies i wołu; zwycięstwo odnosił kto głowę wołu zatrzymał; najzaciętszemi byli o to trofeum rzeźnicy i piwniczni. Dotąd jeszcze w piwnicach pałacu i w jatkach rzeźniczych pokazują głowy wołów kiedyś zdobyte przez te dwie korporacye w pamiętnych dniach koronacyi.

Na ulicy Gross-Hirsch-Graben wznosi się dom skromny w niczém od innych nieróżny, Nr. 74 literą *f* naznaczony. To dom rodzinny Goetego. Na jego frontonie widać tylko herb proroczy, którego kolorów rozpoznać nie można; na tarczy belka z trzema lirami. Tam Goete napisał część Wertera, tam pierwszy pomysł Fausta mu zajaśniał.

Frankfurt, jak każde miasto, ma swą ulicę żydowską, najbrudniejszą, ale też najfantastyczniejszą z całego miasta. Ulica ta dziś tak wygląda jak w wieku XV. Dopóki tylko można mieszkać w domu, nigdy żyd prawdziwy go nie burzy. Ściany pękają, zalepia je; dom się chyli, podpięra go. Żyd taki nie cierpi nowości. Jednak w r. 1796 Jourdan przez dwa dni i dwie nocy bombardował miasto; większa część bomb i granatów padła na ulicę żydowską i zburzyła lub spaliła przeszło sto domów. Rozszerzyło to, chociaż nie zwiększyło, ową część miasta.

Ta ulica równie jak druga zamykanemi były na noc żelaznemi wrotami; żyd spóźniający się płacił karę. Ale od 1819 r. ten zwyczaj uciążliwy i niesłuszny nie istnieje. Dziś wolno żydom mieszkać gdzie chcą, kupować tyle domów ile mogą; dawniej mogli posiadać tylko po jednym domu i to na ulicy im wyznaczonej. Winni to są panu Rotszyld, swemu współwyznawcy.

Jednak znalazły się nawyknięcia, których p. Rotszyld nie mógł przewyciężyć nawet prośbami swemi; jego matka pogardza jak najmocniej wynalazkami dobrego bytu, wszelkimi wykwintościami zbytku. Nigdy nie chciała opuścić małego domku w owym Gheto frankfurckim dla pałaców, które jej synowie powznosili w Paryżu, Londynie, Neapolu, Wiedniu, lub nawet w Frankfurcie.

Nigdy nie przejechała się powozem, nie zmieniła w niczem dawnego trybu życia, bogactwa jej synów wszędzie podziw budzą swą wielkością, nie mogąc, widocznie przynajmniej, rzucić na nią swego złocistego blasku.

W roku 1795 książę Hessen-Kasselski był zmuszonym opuścić swe państwa; nie wiedząc co zrobić z summą dwu milionów, szukał rady przyjaciela, który polecił mu jako najuczciwszego człowieka z znanych mu żyda, dawno z nim handlującego. Książę kazał żyda przywołać i oddał mu summę. Żyd zapytał: czy ją odbiera jako depozyt, czy też do obrotu? Książę odpowiedział, by postąpił z nią jak zechce, i zażądał kwitu. Wówczas żyd chciał zwrócić summę, oświadczając, że gdyby przy księciu znaleziono kwit, depozytariusz zostałby narażonym na prześladowanie. Bez kwitu za wszystko odpowiadał, z kwitem nie chciał żadnej brać odpowiedzialności. Książę wahał się chwilę, żyd miał fizyognomię poczciwą, ale summa zasługiwała na ostrożność. Zaufanie jednak przemogło bojaźń; książę oddał pieniądze i odjechał.

Nakoniec pokój paryzki w r. 1814 oddał każdemu z książąt mniej więcej to, co posiadali przed tem wielkiem wstrząśnieniem państw od r. 1796 do 1814,— książę Hessen-Kasselski wrócił do swej stolicy.

Pewnego dnia donoszą mu, 'że jakiś żyd pragnie z nim mówić; książę odpowiada, żeby go odesłano do ministrów, jeżeli przychodzi z prośbą. Żyd jednak oświadcza, że może tylko księciu swój interes powierzyć — i żyda wprowadzają.

Książę poznaje go: taż sama suknia tylko więcej wytarta, taż sama twarz tylko dziś zmarszczona, też same włosy, tylko rzadsze, taż sama broda, tylko bielsza. Żyd się kłania.

— Oho! — woła książę — to ty; nie myślałem że cię zobaczę. Cóż mi powiesz? że moje pieniądze odkryto, zabrano. Cóż robić? Dzięki Bogu i traktatowi paryzkiemu, nie jestem zbyt biednym, i mogę stracić dwa miliony, na które już nie liczyłem

— Nie o to chodzi, proszę W. Ks. Mości — odrzekł żyd kłaniając się za każdym słowem. — Dzięki niech będą Bogu Izraela, nie ruszono tych dwóch milionów; a że W. Ks. Mość pozwoliłeś robić niemi . . .

— Ach, rozumiem — rzekł książę — tak niemi obracałeś, że w końcu zginęły. Cóż począć, ten czas nieszczęśliwy był zgubnym dla handlu.

— Nie o to chodzi, proszę W. Ks. Mości. Dwa miliony nie zginęły.

— Jakto, odnosisz mi moje dwa miliony?

— Nie o to rzecz idzie, proszę W. Ks. Mości. Nie odnoszę dwóch milionów ale sześć. Pieniądz dobrze uprawiony rośnie.

— A ty cóż?

— Ja mam także mój interes, komissowe, sześć od sta; ale to co innego. Zresztą, W. Ks. Mość przejrzy rachunki. Są w porządku.

— Gdzież u licha mogłeś zarobić cztery miliony?

— Na mnóstwie drobiazgów; to nie warto o tem mówić, ale to wszystko stoi w rachunkach.

— A to ty myślisz, że ja wezmę te pieniądze? odbiorę moje dwa miliony, reszta twoja, ja handlem się nie bawię.

— To źle, proszę uniżenie W. Ks. Mości, takim kapitałem obrotowym co to za wielkie spekulacje można przedsiębrać, kiedy z dwoma milionami tylko . . . . .

— Oddaj mi tylko dwa miliony; z reszty cię kwituję; to dla ciebie.

— Ale powiedziałem że mam mój mały interes, komissowe.

— Jeszcze słowo a nic nie wezmę.

— Ale proszę W. Ks. Mości, są prawa i dla biednych żydów; mogę zmusić . . . .

— Do odebrania sześciu milionów, kiedy dałem tylko dwa?— dobry.

— Nie — odpowiedział żyd po namysle — nie mogę zmusić W. Ks. Mość do odebrania sześciu milionów, bo W. K. Mość możesz zaprzeczyć upoważnienia do obrotu swemi pieniędzmi, a jeżeli W. K. Mość zmienisz słowo, to ja będę skazany.

— A więc — rzekł książę — nie trzymam się słowa danego, nie pozwoliłem ci robić memi pieniędzmi; jeżeli się jeszcze odezwiiesz, pozwę cię o naruszenie depozytu.

— Już niema dobrej wiary na świecie — mruknął żyd.

— Co gadasz — zawołał książę.

— Nic, proszę W. Ks. Mości; ja mówię, że W. Ks. Mość wielki książę, a ja tylko biedny żyd. Oto dwa miliony w wekslach na okaziciela na Wiedeń; co do reszty czterech milionów, kiedy W. Ks. Mość rozkazuje, to je zatrzymać muszę.

I żyd powrócił do Frankfurtu z czterema milionami. Tym żydem był pan Rotszyld ojciec. Takim miał być początek tego kolosalnego majątku utrzymanego przez pięciu braci, kierujących tyłuż domami handlowemi, mnóstwem zakładów filialnych we wszystkich miastach Europy, tysiącami agentów we wszystkich częściach świata.

### III.

## MOGUNCYA.



Moguncya i Frankfurt dziś stanowią prawie jedno miasto. W wiekach średnich rozdzielało je mil ośm, to jest prawie dwa dni drogi; dziś pięć kwadransy, oto czas potrzebny do przejazdu. Pomiędzy miastem cesarzów a grodem elektorów, cywilizacya nasza rzuciła ten łącznik zwany koleją żelazną. Parowóz ciągnie się brzegiem Menu, czasami przesuwa się po zielonej, bogatej i rozległej równinie. Na kolej tę, bez drogociałów, bez tunelów, tarasów, nasypek, z podkładem tylko drzewa pod szyny, rzucają swój cień ojcowski rozległe jabłonie jak na prostą wiejską ścieżkę. Żadna fosa, krata lub baryera nie strzeże przed dobroduszością chłopaków wiejskich. Zdaje się, że niewidzialna ręka przesuwa, jak w panoramie, przed tobą ogrody, sady, pola uprawne i zrzuca je potem w głąb' krajobrazu, jak materye przez kupca wzgardzone.

Moguncya jest pysznem miastem, zniszczonem przez ludzi złego smaku. Nie wiadomo, co za gryząca właściwość mają: architektura bez myśli, kolumnady gipsowe, kościoły teatralne, pałace do szynków podobne; ale to pewna, że wszystkie stare grody rozkładają się i giną spiesznie w tej massie domostw białych. Moguncki Martinsburg, rezydencyą feodalną arcybiskupów elektorów, Francuzi zamienili w szpital, Hessi zburzyli dla rozszerzenia portu na rzece. Pałac kupców, zbudowany w roku 1317 przez sławną ligę stu miast, zdobny kiedyś statuami siedmiu elektorów, z których każdy trzymał tarczę z swym

herbem, nad którymi dwie kolosalne postacie utrzymywały herb cesarstwa, zburzono także dla rozszerzenia placu. Stara oberża rodziny Cleemann, najdawniejsza w całej Europie, założona w 1360 r., dziś ma obicia z papieru, ubogie firanki i rozety z tektury. Niedługo Moguncya dom *Bona Monte* lub *Zum Jungen* zastąpi jaką niedorzeczną facyatą; rodzinny dach Jana de Gansfleisch, kamerjunkra przy elektorze Adolffie de Nassau, znanego w potomności pod nazwą Guttenberga, niedługo może rozrzuci, by na jego miejscu postawić jakie nędzne popiersie. Jednak stare kościoły bronią jeszcze otaczających je domostw. Moguncyi należy szukać koło katedry.

Katedra Moguncyi jak katedra Worms i Trewiru nie ma facyaty, ale na dwóch końcach ma dwa chóry, dwie wielkie wieże i cztery mniejsze. Pierwsza część, zaczęta w r. 978, ukończoną została 1009 r.; drugą, której wieża ma 200 stóp wysokości, rozpoczęto w r. 1190, później każdy z wieków po sobie idących po jednym kamieniu się składał; znajdziemy tam wszystkie style, wszystkie architektury, od kwiecistych ozdób epoki odrodzenia aż do poważnej prostej bizantyńsko-gotyckiej wieżycy. Kościół sam wewnątrz bez szyb kolorowych, pomazany na biało, ze wszech stron przedstawia oku freski, obrazy, roboty w drzewie, kolumny, złocenia; ale największym skarbem tego wielkiego budynku są groby arcybiskupów elektorów: katedra niemi jest brukowana, zrobiono z nich ołtarze, podparto niemi słupy, pokryto niemi mury; sąto pyszne tafle z marmuru lub brązu, pracą i rzeźbą droższe niekiedy jak złote tafle świątyni Salomona. W kościele, w sali kapitulnarza i w klasztorze liczą 43 grobowców: pomiędzy temi jeden z 8-go wieku, dwa z 13-go, sześć z 14-go — dziewięć z 15-go — jedenaście z 16-go — tu nie wymieniamy grobowców zaołtarzowych ani tafli pomnikowych w podłodze, owej ponurej a rozmaitej mozaiki śmierci, codzien bardziej ścieranej nogami wiernych -- wszystkie te pomniki, pięć wyjąwszy, są grobowcami arcybiskupów. Rozrzucone bez porządku chronologicznego wśród lasu kolumn bizantyjskich i enigmatycznych kapiteli, rozwijają przed nami sztukę sześciu wieków, a z jej gałęzi, jako podwójny owoc, spada historia myśli wraz z historią faktów. Wszystkie wielkie imiona Niemiec nadreńskich mkną się w ponurym cieniu rzucanym przez grobowce w ciemnościach kościoła. Fantazyja epoki, artyzty i umierającego łączy się razem na wszystkich pomnikach. Mauzolea 18-go stulecia otwierają się przed skieletem, który w swych długich kościstych palcach

unoszą mitry arcybiskupów i kapelusze elektorów. Arcybiskupi z 17-go wieku marzą oparci na ręku u stóp swego sarkofagu — arabeski odrodzenia przyczepiają swe tarcze otoczone delikatnym liściem i w rozmaitych wdzięcznie łamanych liniach okrążają drobne statuy, dwuwiersze łacińskie i kolorowane herby. Surowe nazwiska: *Mathias Burheeg*, *Conradus Reingraf*, stoją pomiędzy zakonnikiem, uosabiającym duchowieństwo, a rycerzem w przyłbicy, przedstawiającym szlachtę, pod czystym łukiem gotyckim z 14-go wieku; a na taflach złożonych i malowanych 13-go stulecia olbrzymi arcybiskupi, mając pod nogami potwory apokaliptyczne, koronują dwoma rękami cesarzów i królów mniejszych od nich wzrostem. W tejto dumnej postawie patrzy na nas okiem niewzruszonem mumii egipskiej Siegfried, co koronował dwóch cesarzy, Henryka Turyngskiego i Willhelma holenderskiego. Herby, płaszcze heraldyczne, mitra, korona, kapelusz elektorów, kapelusz kardynała, berła, miecze, pastorały, rzucone obficie na te pomniki, silą się, by oczom przechodnia przedstawić raz jeszcze tę potężną i wielką postać przydującą kiedyś dziewięciu elektorom cesarstwa, a zwaną arcybiskupem Moguncyi. Chaos napół cieniem obłany rzeczy wzniosłych lub świętych, symbolów szanownych lub straszliwych, z których chciano utworzyć ideę wielkości, a z których dziś tylko idea nicości. Jedynym pomnikiem z 8-go wieku jest pomnik Fastrady, żony Karola Wielkiego; prosta tafla marmuru białego w murze, na niej napis literami rzymskimi i data w cyfrach arabskich 794 r. W istocie Fastrada, złożona kiedyś w kościele S. Albana, zasnęła pod tą bryłą marmuru. W tysiąc lat później, (historja niekiedy z wielkimi faktami łączy zadziwiająca ścisłość geometryczną) w r. 1794 małżonka Karola Wielkiego wyszła z grobu. Stary jej gród Moguncyi był bombardowany. Jej kościół S. Albana zdruzgotały kule i pożar. Niewiadomo co się odtąd stało z jej zwłokami. Pomnik jej przeniesiono do katedry.

Oprócz grobowców, relikwiarzy, bogato rzeźbionych płaskorzeźb w ołtarzach, okiennic malowanych na tle złożonem, każde z dwóch prezbiteryów ma swe własne ozdoby. Prezbiteryum z roku 978 ozdobione dwoma pięknymi schodami bizantyjskiej architektury, mieści w sobie wspaniałą chrzcielnicę brązową z 14-go wieku. Dwunastu apostołów i S. Marcina patrona kościoła wyrzeźbiono na niej. W czasie bombardowania wierzch rozbity został; za cesarstwa, epoki pełnej smaku, pokryto ją pewnym rodzajem rądla. Drugie prezbiteryum, mniejsze i bardziej nowożytne, zapełnia gruba rzeźba chóru, z dębu czarnego, w szalonym

i pokrzywionym stylu z 18-go wieku, która z taką gwałtownością się rozwija, tak wścickie buntuje się przeciw linii prostéj, że ją prawie piękną nazwać można. Nigdy zły smak nie kierował misterniejszym dłutem, potężniejszą fantazją i bogatszym w rozmaitość pomysłem. Na wstępie do chóru, wznosi się w całej wspaniałości mistycznej arcykapłana hebrajskiego, Aaron przedstawiający biskupa wewnątrz kościoła i Melchizedech przedstawiający go zewnątrz. Arcybiskup Moguncyi, jak książęta biskupi Wormacyi i Liegi, jak arcybiskupi Kolonii i Trewiru, jak papież, jednoczył w swej osobie podwójne kapłaństwo; było zarazem Aaron i Melchizedech.

Z kapitulacza pysznego i ponurego, romańskiego przedsiönka pełnego surowości wspaniałej, wchodzi do klasztoru. Bombardowanie z 1794 roku wielkimi głóskami tam się wypisało. Wszędzie zielska wilgotne, wśród których tkwi kamień omszały, arkady wyszczerbione kulą, grobowce rozbite granatem, rycerze kamienni wypoliczkowani czerepem bomby, którym ta straszliwa szrama za twarz służy; samotność ponura i upadek. Oto dziś klasztor arcybiskupów Moguncyi. Dwa lub trzy posągi smutne i straszliwe stoją w kącie wystawione na deszcz i flagę, i w milczeniu poglądują na to zniszczenie.

Rynek targowy otaczający z dwóch stron katedrę wesoły widok przedstawia w swej całości. W środku wznosi się trójkątna fontanna, dzieło w stylu odrodzenia niemieckiego, mały poemat, który z połączenia herbów, mitr, rzek, najad, pastorałów, rogów obfitości, aniołów, delfinów i syren, robi podnoże dla dziewicy Maryi.

Z wierzchołka cytadeli Moguncya przedstawia 16-cie szczytów i tyleż celów dla dział: sześć wieżyc katedry, cztery dzwonniczki flamandzkie, trzy kopuły. Miasto, jakkolwiek bardzo wybielone, nosi jeszcze szanowną postać handlowych grodów Hanzy nadreńskiej. Ożywia je ruch niemały. Niemniej tam masztów, pak i hałasu jak gdzieindziej.

Okolice Moguncyi okrażają miasto pasem piękności, podań i pomników. Ren prowadzi do tak zwanych Ingelsheimer Auc i Petersaue, naprzeciw których wznosi się twierdza Montebello, dalszy ciąg głównej strażnicy Niemiec w pasie dumnego Renu, Moguncyi. Z wysokości Ingelsheimu widok na rzekę. Panorama rozległa, obejmująca tysiące obrazów zlanych w jedną wielką harmonijną całość, stopniowanych, od ładnego



do pięknego, od pięknego do wielkiego, od wielkiego do szczytnego. Miłem nazywamy kąpiące się w rzece ogrody i domki przeglądające się w jej nurtach; pięknymi są winnicą wpeł przepasane, osiane drobnymi chatami, ukoronowane lasem góry, pogięte w przylądki, poorane w parowy; wielkość i powagę widzimy w ich czarnych szczytach i w bogatej całości obrazu. Karol Wielki wiedział, dlaczego Ingelsheim uczynił najulubieńszą swą siedzibą. W r. 768 zwycięzca Sasów postanowił wznieść tutaj zamek, któryby razem był stróżem Renu i w r. 774 ukończono pyszny budynek z kamienia, napół twierdzą napół pałac, wsparty na 50 kolumnach z marmuru, na 50 innych z granitu. Kolumny marmurowe przysłał mu papież Stefan III z Rzymu i Rawenny, granitowe wykuto w Adenwald. Widząc tak piękne cesarskie mieszkanie, Karol Wielki postanowił zaraz uświetnić go odbyciem sejmu cesarstwa.

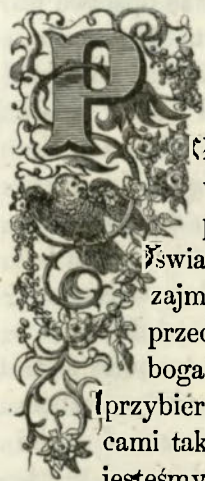
Podanie niesie, że w noc poprzedzającą ten sejm Karol we śnie ujrzał anioła, który doń rzekł: „Wstań i kradnij.” Widzenie powtórzyło się trzy razy, bo za każdym cesarz się przebudzał. Spełnić jednak drugą część rozkazu niełatwo było, wstrzymywał i skrupuł grzechu i niewiadomość co ma być przedmiotem kradzieży. Karzeł cesarski wskazał jako miejsce najstosowniejsze do wykonania rozkazu cudownego zamek barona Haderich, jednego z tej szlachty ówczesnej, żyjącej rabunkiem i rozbojem, a na których Karol był biczem bożym. Tam spełniona kradzież przestawała być kradzieżą. Wprowadzony nocą do zamku, podsłuchiwał Karol wiadomości o spisku uknutym przez pana jego i dwunastu innych baronów; w skradzionej szkatułce znalazł dowody, a przed otwarciem sejmu dwanaście szubienic w Ingelsheim spiskowi położyło koniec. Zamek dotąd nie miał nazwiska. Na pamiątkę objawienia lub cudownie uniknionej śmierci, Karol nazwał go Ingelsheim czyli Dom Anielski.

W dziesięć lat później r. 784, tutaj także Tassylo książę bawarski nie uchronił się wyroku śmierci, który jednak Karol na wzięcie sukni zakonnej złagodził. Tutaj Ludwik pobożny przyjmował cesarza wschodniego Leona w r. 826, tutaj chrzcił się z żoną i dziećmi król Duńczyków Harold. Z zamku Karola dziś pozostał gruz tylko, podania i wspomnienia. W wojnach Fryderyka zwycięzkiego z arcybiskupem mogunckim Adolfem Moguńczycy ogniem go zniszczyli, dziś lud jeszcze zbiorom kamieni nazwy rozmaitych komnat

nadaje. Tylko Ren i góry jego zmianie nie uległy. Imię Karola Wielkiego wiąże się tutaj jeszcze z skromniejszym, chociaż trwalszym wspomnieniem jak ta ruina. Winnice w Ingelsheim jemu winne swój początek. Onto, widząc położenie szczęśliwe gór, przeniósł tutaj najpiękniejsze szczepy Orleanu, a te przesadzeniem zyskały podwójną dobroć. Z świetnego pałacu dziś niekształtne tylko widać szczątki, skromniejszy szcep winorośli przetrwał wieki, a zubożony nim rolnik, dziś jeszcze błogosławi pamięć Wielkiego Karola.

#### IV.

### NA RENIE.



Ślężymy więc za biegiem Renu. Korzystajmy z pomocy sztuki, z zabiegłości przemysłu, weźmy którykolwiek z parostatków krzyżujących się na rzece, zapomnijmy o towarzyszach podróży, których tutaj stami spotykamy, o tej dziwacznej mozajce, na której kraje całego świata składać się musiały, tyle ich tutaj znajdziemy, taka ich różnorodność przed nami. Cóż nas zajmować może ziewanie znudzonego Anglika, paplanie Francuzów, dym niemieckiej fajki, kiedy przed nami błonia Renu (Reingau). Wzniosłości nadbrzeżne usadowiły się tarasem, winorośl bogata pokrywa je zielenią, w dalekości zbiegają się one w półkole, a rzeka w tym miejscu przybiera majestatyczny pozór jeziora. Mijamy Schierstein, wioskę z 1200 mieszkańców, z jej owocami tak hodowanymi troskliwie, z jej winem piekielnym, zwanym od mocy; mijamy już Walluf, jesteśmy przy Ellfeld, stolicy Błonia Renu. Niema tu podać jak w innych miastach tej rzeki. Ellfeld nie znało Karola Wielkiego, zbudowane w wieku XIV przez Ludwika Bawarskiego, nie ma miejsca w legendach, historia także nie ma dlań wspomnienia; Francuzi i Szwedzi palili jego zamek zbudowany przez Baldwina walecznego, o tym nam powiada stara gotycka wieża, resztką pozostała z dawnej twierdzy. Zresztą miasteczko schludne i czyste, wzdłuż brzegów ciągną się wille bogatych panów niemieckich różnym stylem różnacie wznoszone. Ellfeld jednak ma swoje wspomnienia. Tu jeszcze za życia Guttenberga, Henryk

Bechtelmuunz zostawionemi przez mistrza narzędziami drukował wiele dzieł ważnych; tu umarł ciężko doświadczony losem Guttenberg, gdy osiadł przy synowcu swoim Jakóbie v. Sorgenolch, który zaślubił córkę Henryka Bechtelmuunz. To cała historyczna sława Ellfeldu, sława nie miała dla tego miasteczka, że uspokoiło nieszczęścia jednego z dobroczyńców ludzkości.

Na lewym brzegu, Dreiserhof wybudowany w bagnistej okolicy przez Cystersów z Eberbach. To kiedyś sławne opactwo leży wgłąb' brzegu w lesie. Podanie mówi, że go zbudował S. Bernard, a plan budowy skreślił mu ryjem na piasku dzik, ztąd nazwa Eberbach. Historia zaś wskazuje, że opactwo to w r. 1135 wzniesli Cystersi przysłani z Kluniaku przez S. Bernarda na żądanie biskupa Adalberta. Mieszkańcy Błonia Renu wiele są winni tym zakonnikom. Cystersi w wiekach średnich wszędzie dobre zasługi położyli: nie zamknięci w lenistwie, czynni, pracowici, stali się oni nauczycielami wielu sztuk, rzemiosł nawet. Ścisła karność klasztorna jednała im szacunek, którego na pożytek swych sąsiadów używali. W Eberbach nie tylko rolnictwo, nie tylko hodowanie winorośli, ale i żeglugę i handel na Renie podnieść umieli. Uwolnieni przez cesarzy i książąt od ceł wszelkich, wysyłali co rok liczne statki ładowne mąką i winem do Hollandyi. Słowem nauką i przykładem pracowali nad podniesieniem ducha okolicy, staraniem i czynnością nad jej bogactwem i dobrym bytem. Dziś kościół ich zamieniono na główny skład wina z winnic księcia Nassau, klasztor na dom obłąkanych i więzienie. Pozostałe jednak pomniki świadczą jeszcze o świetności dawnej.

Mijamy Kidrich i wieże Scharfenstein, resztki zamku w 12-m wieku rozbojami swych baronów słynnego, a zbliżamy się do Hattenheim, pełnego rozkosznych willi i wiejskich domków. Hattenheim znanym jest tylko z win swoich tak pospolitych wszędzie, a zwanych Markebrunner. Nazwisko bierze od studni sławnej wodą, która kiedyś musiała stanowić granicę jakiego podupadłego baronostwa i dotąd jeszcze tę nazwę nosi. Spotykamy dalej Mittelheim, gdzie jakiś biskup moguncki spalił wszystkie szczury i myszy, ponieważ mu mszał jego zjadły; dalej Winkel i Klingelminde i stojemy przed Johannisbergiem, koroną reńskich błoni.

Na górze, w położeniu cudowném wznosi się zamek. Ruthard II arcybiskup moguncki i szwagier jego Rheingraf Richolf w r. 1109 w tym miejscu wzniesli klasztor jako pokutę za zbrodnię zrabowania żydów

mogunckich. Benedyktyni osadzeni w nim służyli rozwiązłością obyczajów. Nareszcie Albert Brandeburski w r. 1552 spalił klasztor; Szwedzi w wojnie trzydziestoletniej do reszty go zniszczyli, i dopiero w r. 1716 zamek odbudowano na nowo; w r. 1806 Napoleon posiadłość tę darował marszałkowi Kellerman księciu Valma, odebrawszy ją księciu Oranii. Ten zatrzymał ją do 1816 r., w którymto czasie cesarz austriacki oddał księciu Metternich jako feudum z obowiązkiem płacenia dziesięciny. Sławę Johannisbergu jednak nie stanowią: ani dawność jego opactwa, ani nazwiska jego właścicieli, ani nawet piękność położenia, bo o te nad Renem nietrudno; jego sławą, jego zyskiem są jego winnice wydające najdroższe i najwięcej cenione z win reńskich. Już w r. 1641 pierwsza góra zastawioną została podskarbiemu cesarstwa, Hubertowi von Bleymann, za 30,000 ówczesnych złotych reńskich; a ponieważ ta summa nigdy wróconą nie była, Johannisberg w roku 1716 zmienił właścicieli. Od tej pory dopiero zaczęto się zajmować staranniej uprawą wina; przypadek odkrył drogę do tego. Pewnego roku książę opat z Fuldy zadługo czekał z winobranem, jagody zbyt wcześnie dojrzały, niektóre nawet przegniły, i właśnie z tego zbioru miano najlepsze wino jakie dotąd zbierano w Johannisbergu. Odtąd czekają, dopóki owoc nie dojdzie zupełnej dojrzałości, a jagody opadające zbierają szczególnie na to urządzonemi grabiami. Powoli zbiór z tych 63 morgów, powiększył się z 16 do 23 a nawet niekiedy do 24 beczek. Każda beczka liczy 1300 butelek, butelka zaś sprzedaje się po 10 zł. reń.; w latach zaś szczególnej dobroci, jak w r. 1779 i 1783, cena jój do 12 zł. reń. dochodzi. W roku 1811 kupiec Mumm za zbiór jednoroczny zapłacił marszałkowi Valmy 128,000 zł. pols., a pomimo tak wysokiej summy, zrobił nader zyskowny dla siebie interes. Dziś Johannisberg ozdobiony bogato, zyskuje sławę imieniem swego właściciela i rozgłośnym wszędzie smakiem win swoich. Z nim się kończą Błonia Renu, okolice błogosławione od natury, która je obdarza bogactwem i pięknnością; płyniemy teraz w stronę mniej żyzną, bardziej ponurą, w ojczyznę podań i legend, stworzonych poetycznym widokiem tych brzegów.

Przed Geisenheim rozciąga się płaski i niski grunt aż do rzeki, która go zalewa przy każdym wezbraniu; na nim zakładają ogrody i sieją koniczynę. Błonie nad rzeką, miasteczka na brzegu ciągną się miłe oku; widok tu swobodniejszy, otwartzszy. Rozległa wzgórkowata dolina rozwija się pomiędzy dwoma stopniowo podnoszącemi wzniosłościami aż do Hundsrück. Dziś miasteczko przez handel i napływ podróżnych,

wzrosło w znaczenie i bogactwo; jest ono najludniejszemu może z miast Błonia Renu. Za Geisenheim ku Rüdeshheim wznosi się klasztor Eubingen, dziś na dom inwalidów i arsenał z piękną zbrojownią zamieniony. Nie tak on wyglądał 1814 roku gdy go zwiedzał Goethe: „Klasztor Eubingen, mówi wielki poeta Niemiec, przedstawia najprzykrzejszy widok zniszczenia czcigodnego przybytku: kościół odarty ze wszystkiego; pokoje i sale zupełnie sprzętów pozbawione; ściany cel powybijane; drzwi do krużganków z zawias wyrzucone; korytarze zasypane ceglami; gruz wszędzie. Pocóż burzyć bez celu, bez potrzeby? Dowiadujemy się jednak o powodach: Tu miał być założony lazaret, gdyby plac boju blizkim był Renu. Cieszymy się więc z tego gruzu, z tej przerwanej roboty.” Tutaj schroniły się zakonnice z Rapertsberg, gdy Albert Austriacki wydał wojnę elektorom nadreńskim, i zbliżał się do Bingen. Tu przechowywano wszystkie rękopisma świętej Hildegondy, wraz z jej brewiarzem, bogatemi malowaniami zdobnym, i pierścieniem, co wszystko dziś przeniesiono do biblioteki w Wiesbaden. Czarowny widok przedstawia miasteczko Rüdeshheim z 2500 głów ludności, i jego okolica otwarta. Na prawo olbrzymi Niederwald, ku któremu miasto się zwraca; na lewo widok rozległy całego brzegu z górą ś. Rocha i z kaplicą na niej widzialną zdaleka; przed nami stroma skała, granica Błonia Renu; zbliżając się do Rüdeshheim widzimy rozległą płaszczyznę na lewo: to rodzi przypuszczenie że w czasach przedhistorycznych, gdy góry Bingen były jeszcze zamknięte, zatrzymana tutaj woda wyrównała tę nizinę, nareszcie, powoli odpływając, wyżłobiła sobie dzisiejsze Renu koryto. Za miastem wznosi się góra, na której z wielką pracą hodują winorośle dające szlachetne wino Rüdeshheim. I tu wspomnienie Karola Wielkiego; on widząc że na tej górze wcześniej śnieg topnieje jak na innych, sprowadził winorośl z Burgundyi i zasadził. Pod miastem cztery zamczyska uderzają oko. Bromserburg, odbudowany z ruiny przez hrabiego von Schönborn w stylu staro-gotyckim, stoi nad brzegiem na końcu miasta. Za cesarza Konrada, Hans Brömser ruszył do Palestyny i tam dostał się do saraceńskiej niewoli. Tu zrobił ślub, że za powrotem do kraju wybuduje kościół, ale wypuszczony z niewoli rychło o ślubie zapomniał, dopiero walka z olbrzymim smokiem pamięć o tem mu przywróciła. Ale za przybyciem do Rüdeshheim tylko cud mógł go do tego zachęcić. Wół pasący się wygrzebał bowiem krzyż cudowny, dla tego krzyża Hans wzniósł kościół w Rüdeshheim; dziś kościół obrócono na spichlerz, a relikwie z niego, kajdany saraceńskie Hansa,

róg wołu który krzyż wykopał, są własnością księcia Metternich w Johannisbergu. Goethe widział krzyż ten w kościele miejskim, był on dziełem wieku zręcznego ale jeszcze nicudolnego. Na lewym brzegu wznoszą się Okenheim, Gaulsheim, Donnersberg, szczególnie zaś pełne życia Bingen, miasto z 5000 ludności, blisko stóp góry ś. Rocha, pod opieką jego kaplicy.

Piękne to miasteczko Bingen, białe i szare razem, poważne jak gród starożytny, wesołe jak miasto nowe, od konsula Druzusa do Karola Wielkiego, od tego do arcybiskupa Willigis, od arcybiskupa do kupca Monte-magno, od kupca do jasnovidza Holzhausen, od jasnovidza do notaryusza Fabre, dziś rządzącego w zamku Druzusa, powoli, dom po domie skupiało się i zbierało w trójkącie formowanym przez zlanie się rzek Nahe i Renu, jak rosa po kropli zbiera się w kielichu lilii. Porównanie jest za kwieciste ale prawdziwe, wystawia najlepiej formowanie się miasta u zbiegu dwóch rzek. Miasto, przyparte z prawej strony rzeką, z lewej rzeczką, tworzy trójkąt około gotyckiego kościoła opartego o cytadelę rzymską; w cytadeli, której datą pierwszy wiek po Chrystusie, a która długo była schronieniem rycerzy-rozbójników, dziś mamy ogród proboszcza; w kościele wzniesionym w wieku piętnastym widzimy grobowiec doktora niby czarownika, owego Bartłomieja Holzhausen, który pewno byłby zginął na stosie za wyrokiem elektora Moguncyi, gdyby elektor nie używał go jako astrologa. Od strony Moguncyi rozwija się i zieleni rajska płaszczyna otwierająca Błonia Renu; od strony Coblenz czernieją ponure góry Leyen. Tu natura uśmiecha się jak piękna nimfa na murawie uśpiona; tam grozi jak leżący olbrzym.

Tysiące wspomnień tkwiących to w lesie jakim, to w budynku, to w skale, krzyżuje się w tym kącie Renu. Ta ciemna wieża kwadratowa na końcu miasta Rudesheim służyła kiedyś za czoło mostu Rzymianom. Na szczycie Niederwald, naprzeciw Bingen u granicy pysznego lasu, mała świątynia z kolumnami białymi wznosi się nad pysznym i ponurym Ehrentels, zbudowanym przez arcybiskupa Siegfrieda, kiedyś straszną dla okolicy cytadelą, która dziś tylko pysznym jest zwaliskiem. Z drugiej strony Renu na Rupertsberg naprzeciw Niederwald w ruinach klasztoru Desibondenberg, studnia błogosławiona, wykopana przez świętą Hildegardę, sąsiaduje z wieżą Hattona haniebnej pamięci. W wieży kowale pracują, w klasztorze komora pruska. Mara Hattona słyszy huk kowadła, cień Hildegardy patrzy na plombowanie pak z towarami.

Przez dziwną sprzeczność, powstanie Civilisa, który zburzył most Druzusa; wojna Palatynatu, która zburzyła most arcybiskupa Willigis; spory Adolfa de Nassau i hrabiego von Isemburg; Normandowie w roku 890; mieszczanie w Creuznach w roku 1279; arcybiskup Baldwin trewirski w roku 1334; morowa zaraza w r. 1349; wylew rzeki w r. 1458; landgraf Wilhelm heski w r. 1504; wojna trzydziestoletnia, armie rewolucyi i Napoleona; wszystkie zniszczenia i wojny grasowały po tej wysokiej dolinie; kiedy najpiękniejsze postacie ballad i legend: Gela, Jutta, Liba, Guda, Gizela piękna i cnotliwa córka Brömsera; Hildegarda przyjaciółka ś. Bernarda; Hiltruda spiesząca po rozgrzeszenie papieża Eugeniusza, zamieszkiwały te smutne skały. Czuć krew jeszcze na tej dolinie, woń cnót i piękności wionie jeszcze z tych gór.

Im więcej badamy te piękne miejsca, im więcej w nie wglądamy, tém częściej przed okiem i myślą antyteza się powtarza. Zaledwie Nahe wolnym biegiem przepłynie arkady mostu granicznego, a już zielone ramię Renu porywa gwałtownie ospałą rzekę i pogrąża w Bingerloch. Bogowie tylko wiedzą, co się dzieje w tym wirze; zaprawdę nigdy Jowisz nie oddał powolniejszej Najady gwałtowniejszemu prądowi.

Kościół w Bingen pomazano na szaro wewnątrz i zewnątrz. Niedorzeczności podobne, zniewagi starożytnych piękności wszędzie się jednak trafiają; żeby tylko na pomazaniach się kończyły. Jakież niepojęte wrażenie, pełne rozkoszy niezliczonych, osłoniętych jednak wielkością obrazu i głębokością rozmyślań, przenika cię, gdy na wierzchołku Klopp, w chwili gdy słońce zapada widzisz miasto pod twemi nogami; około siebie widnokrąg niezmierny; gdy góry ciemnieją; dachy dym rzucają; cienie zdłużają; gdy w tym samym powietrzu czujesz woń drzew, mgłę rzeki, technienie gór i życie miasta. U otwartych okien poddaszów dziewczęta schylone nad robotą nucą, ptaki świegocą wesoło w bluszczu ruiny, ulice szumią odgłosem ludu szczęściem i pracą technącego; czółna mijają się na Renie, wiosło przecina falę, żagiel drząc nadyma się wiatrem, gołębie krążą koło dzwonnicy, rzeka lśni się tysiącem iskier, niebo blednie, promień horyzontalny słońca purpurą barwi zdała kurz na wielkiej drodze z Rüttesheim do Biberich i oświeca szybkie wozy, uciekające jakby w chmurze złota na czterech gwiazdach. Praczki na Renie rozwieszają swe płutna na krzakach, praczki na Nahe biją swą bielizną kijanką, stąpają bosą i zmoczoną nogą po tratwach z pni sosnowych





Linkes Ufer

→ Left Bank

Rive gauche 7



Jung Aue      Sporkenheimerhöfe      Haller Aue      Carthäuser Aue      Allisheim      Jacobsberg

L. U.

→ L. B.

R. g. 8



Ockenheim      Gaulsheim      Kempten      Rochusberg      Rochus Chapel  
Chapelle de St Roch

L. U.

→ L. B.

R. g. 9



Bingen      Ruine Klopp      Mühlstein-Rocks. Mouth of the Nahe  
Rocs de Mühlstein. Jonction de la Nahe      Mäuseturm      Elisenhöhe      Bingerloch



Geissenheim

Schönborner Village  
Aue Johannisberg

Castle of Johannisberg  
Château de Johannisberg

Lange Winkel

Castle Vollrath  
Château de Vollrath



Niederwald

Nieder u. Bosenburg  
(Brönserburg)

Rüdesheim

Former nunnery of Eibingen  
Ancien cloître à Eibingen

Eibingen



Ruine Ehrenfels

Mäusethurm

Niederwald



przywiązanych do brzegu i śmieją się z podróżnika rysującego Ehrenfels. Mysza wieża wśród tej radości dymi tymczasem w cieniu gór.

Słońce zachodzi, wieczór zapada, siwe niebo zalega, dachy miasta są już tylko jednym dachem, góry zlewają się w jedną masę ciemności, w której ginie sina jasność Renu. Mgły czarne wznoszą się powoli z horyzontu do zenitu, mały parostatek, krążący między Moguncją a Bingen, staje u bulwarku naprzeciw hotelu Wiktoryi; praczki z swą bielizną na głowach wracają do domu, hałas ustaje, głosy milkną, ostatni promień różowy, podobny do odbłasku zagrobowego świata na twarzy umierającego, barwi jeszcze chwilę na jego skale Ehrenfels blade, odarty, skieletowaty; niknie nareszcie, a wieża Hattona, niewidzialna prawie przed dwoma godzinami, wyrasta nagle; jej dym ciemny za dnia, czerwieni się teraz odbłaskiem złowieszczym, i jak dusza mszczącej się nieprawości rozjaśnia się w miarę jak niebo ciemnieje. Bingen ma swoje święto, najznakomitsze na całym Błoniu Renu, odpust to Ś. Rocha. Tysiące pobożnych spieszy. Roch był jedynym synem potężnego pana w Montpellier; ojciec i matka wychowali go w największej cnocie i najzupełniejszej wstrzemięźliwości. Po śmierci rodziców w 20-m roku życia rozdał majątek ubogim, udał się do Włoch i tam poświęcił się staraniom około chorych dotkniętych zarazą, których uzdrawiał znakiem krzyża i dotknięciem swej prawej ręki. Nareszcie sam zarazą dotknięty, nie chcąc krzykiem swym wyciśniętym przez niesłychane cierpienia, trapić przy nim leżących, leżał u drzwi szpitala. Wypędzono go i ztamtąd do poblizkiego lasu. Tam znalazł go Gothard, który go nie tylko staraniami otoczył, ale jeszcze z nim długo w samotności zamieszkiwał. Po niesłychanych trudach i cierpieniach dostał się nareszcie do Montpellier, kiedyś miasta rodzinnego i swej własności, które darował jednemu z blizkich swoich krewnych. W twarzy cierpieniami zmienionej nie poznano dawnego pana, wtrącony do więzienia jako samozwaniec pięć lat w nim przeżył. Gdy śmierć się zbliżała, więzień zażądał księdza; ten poznał świętego męża, ale już było zapóźno, bo święty wkrótce życie zakończył. Zdarzyło się to w 1327 r. 16 sierpnia; później w Wenecyi, gdzie jego ciało dotąd się przechowuje, zbudowano mu kościół. Gdy bowiem w roku 1414 w Konstancyi odbywano koncylium, zaraza się zjawiła i nigdzie przeciw niej ratunku nie było; ustała dopiero, gdy wezwano imienia tego świętego i na jego cześć odbyto processye. Tak kończy Goethe legendę o Ś. Rochu. Poeta znajdował się przypadkiem na

odpuście w Rochusberg, długo bowiem za Francuzów odpusty tutaj i pielgrzymki były zabronionemi, a kaplica, jako wygodna na posterunek wojskowy, w strażnicę zamienioną została.

Kiedys żegluga w tej stronie z niebezpieczeństwem połączoną była; znać jeszcze rafy zwane Mühlsteinfelsen, a skały na których zbudowano Myszą Wieżę (Mäusethurm), świadczą o tém również. Podanie ludowe i owcześni szperacze walczą z sobą o nazwisko tej starej ruiny. Uчени mówią, że tę wieżę wraz z twierdzą Ehrenfels zbudował arcybiskup Siegfried, który pierwszy otworzył żeglugę na prawym brzegu, na początku XIII wieku. Budyńku tego przeznaczeniem był pobór cła na rzece i przyświecanie w nocy żeglującym statkom, ztąd nazwę Mautthurm (Wieża Celna) przekręcono na Mäusethurm (Mysza Wieża); dodają także, opierając się na tém, że pod Strasburgiem są dwie podobne wieże służące do poboru cła i nazwane myszemi, że ich przeznaczeniem był pobór ceł, że je dlatego uzbrajano w działa drobnego kalibru zwane *mouserie*, a lud tylko przekręcił nazwę prawdziwą. Poco te wywody — niektóre umysły sądzą się praktycznemi kiedy są tylko suchemi, wypędzają poczyą zewsząd, by jej miejsce zastąpić swą praktycznością. Lud inaczej to widzi, inaczej to czuje, dla niego Mäusethurm nosi tę nazwę z innych powodów.

Kiedys w Moguncyi żył Hatto; a że był skąpy, odbierał więc częściej jak darzył. Jednego roku po złem żniwie wykupił wszystko zboże w okolicy by je sprzedać drogo, bo był skąpy i chciwy. Z wielkiego głodu ludzie marli po wsiach Renu. W tym ucisku lud się zgromadził koło zamku i płakał. Hatto znużony kazał swym żołnierzom zapędzić cały ten lud, starców, dzieci i kobiety do stodoły, którą następnie podpalamo. Hatto cieszył się z tego widoku; a słysząc krzyk nieszczęśliwych, wołał: myszy piszczą, myszy piszczą. Nazajutrz stodoła była spalona, a miasto Moguncya puste jak wymarłe. Nagle mnóstwo myszy i szczurów ze spalonej stodoły, z ziemi, zpod kamieni, z murów rozlało się na ulicach, z zabitych i zgniecionych inne się mnożyły pod maczugą lub kamieniem; ulice, twierdza, pałac, piwnice, pokoje były ich pełne. Hatto przerażony opuścił Moguncya i uciekł na płaszczyznę; myszy za nim. Zamknął się w Bingen, które miało wielkie mury; myszy mur przelazły i weszły do Bingen. Wówczas kazał sobie zbudować wśród rzeki wieżę i popłynął tam łodzią, którą dziesięciu łuczników wiosłami popychało; myszy wplaw za nim przebyły Ren, dostały się na wieżę, przegryzły drzwi, dach, okna, deski, i nareszcie w fosie w której się

ukrył pożarły żywcem Hattona. Teraz przekleństwo nieba i trwoga ludzi ciąży na tej wiczy, zwanej Myszą Wieżą. Opuszczona, rozsypuje się w ruiny, a w nocy niekiedy widać na niej czerwony płomień; to dusza Hattona, która się błąka.

Rzecz dziwna! historia czasem jest gorsząca, bajka jest zawsze uczciwą, moralną, cnotliwą. W historii, silniejszy nie uczciwszy tryumfuje i opływa w szczęściu; w bajkach, piekło jest zawsze widomem. Każdy błąd odbiera swą karę, niekiedy nawet przesadzoną; każdą zbrodnię śmierć czeka niekiedy nawet straszliwa; każdy zły jest nieszczęśliwym, niekiedy nawet bardzo nieszczęśliwym. Bo historia porusza się w nieskończonem, bajka w skończonem. Człowiek tworzący bajkę nie pojmuje, by miał prawo rzucić fakta a wynikłość zostawić domysłowi — musi on wszystko zakończyć nauką, radą; nie śmiałby wynaleźć faktów bez wniosku bezpośredniego. Bóg, który historią tworzy, wskazuje co chce, a reszta Jemu tylko wiadoma.

Wieża ta stoi na wyspie długiej i wąskiej, otoczona pasem trzciny i sitowia; za każdym krokiem spotyka się wzgórciki i galeryjki podziemne; krety zastąpiły tam myszy. Ren obił z ziemi przylądek wschodni; niema tam śladu roślinności, tylko skała marmuru różowego. Na tym marmurze wieżę zbudowano. Jest ona kwadratowa, u góry przyczepiono do niej wieżyczkę pięciokątną, długą i śmiałą, wskazującą wiek jedenasty; w niejto miał się ukrywać Hatto przed wrogami. W ogóle trudno wyobrazić sobie coś bardziej zniszczonego i upadłego jak wnętrze tej wieży. Mury na których, jak mówi legenda, poprzybijane były pyszne obicia, a z których myszy wszędzie wygryzły nazwisko Hattona, te mury są dziś nagie, poorane w bruzdy głębokie deszczem, zewnątrz zzieleniałe od mgły rzecznej, wewnątrz zczerniałe od dymu kuźni. Wszystkie piętra zapadły się, dziś Myszą Wieżę składają cztery wysokie mury, dachem jest sklepienie nieba, podłogą w niej gruzy. W nocy wieża ta ponura, wielka, straszliwa i w murach swych potężna, podarta u szczytu, podmyta głęboko u spodu, jak gdyby straszliwe szczury legendy jej fundamenta pogryzły, przeżać tylko może.

V.  
**NA RENIE.**

**B**ingerloch, który był kiedyś trwogą żeglarza, dziś stracił całe swe znaczenie; pozostało mu tylko dawne imię i wspomnienie, niebezpieczeństwo znikło, i żaden sternik dziś nie robi ślubów, by szczęśliwie przepłynąć ów wir. Ten punkt niebezpieczny tworzyły kiedyś kwarcowe skały, ciągnące się przez środek Renu: zwalczone jego potęgą w czasach przedhistorycznych, zmściły się za to upokorzenie na biednych rybakach i żeglarzach; dziś potęga ich skruszona: Pochstein, najniebezpieczniejszy ze wszystkich, wysadzono w powietrze, przepływ rozszerzono na 210 stóp. Ale wspomnienie jeszcze jest silne, żeglarz nie zapomniał, że przez tyle wieków, zbliżając się do tych skał, polecał swą duszę Bogu, zapominał o ziemi, i nieraz dziś jeszcze ślubuje gromnicę S. Mikołajowi, jakkolwiek niebezpieczeństwo nie grozi. Ale światło u S. Mikołaja zmniejszyło się znacznie. Dziś zwyczaj tylko śluby wywołuje, kiedyś trwoga; dziś sternik, płynąc, opowiada tylko niebezpieczeństwa Bingerloclu, kiedyś modlił się i dary świętemu ślubował. Z wysadzonej skały na przeciwnym brzegu wzniesiono pomnik, wspomnienie dawnych niebezpieczeństw, wspomnienie spiących snem wiecznym na dnie rzeki. Tutaj Ren nie roztacza się już majestatycznie, zielone jego błonia nie pieszczą oka: rzeka, porwawszy w swe nurty Men, zmienia swą spokojną naturę, wartko szybuje ona pomiędzy górami, ścieśniającemi jej koryto; majtek wprawniejszej ręce ster powierza i dopiero koło St Goar ośmiela się



ując go znowu. Ale i brzegi postać swą zmieniły, oko nie zwraca się jedynie na prawo, kiedyś tak ubogi, brzeg lewy malowniczością swych surowych widoków wiąże zdziwionego podróżnika.

Tu na lewym brzegu wznosi się Neu Rheinstein, zamek czysto średniowieczny. Rheinstein wzięty i później zburzony przez Rudolfa Habsburskiego, odbudowany przez hrabiego Palatyna, zamieszkiwany w r. 1348 przez Kunona von Falkenstein, dziś jest własnością księcia pruskiego; architekt Kuhn z polecenia nowego właściciela, kazał odbudować ruinę w jej starożytnym kształcie. Wystrzał z działa witający parostatki i sztandar pruski na szczycie, donoszą o obecności księcia. Początek i dzieje zamku nikną w ciemnościach wieku; zmieniał on często panów, pomiędzy nimi wymieniają nazwę barona von Eys, który nałożył cło na przesładowany lud Izraela, i przyuczał psów do odkrywania żydów, którzy za ukrycie pochodzenia swego podwójną opłatę składać musieli. Później zyskał on nazwę Königstein dlatego zapewne, że Rudolf von Habsburg, niszcząc gniazda rozbójniczych baronów, by miastom więcej swobody zapewnić, tutaj zatknął swój sztandar, ztąd wykonywał swe wyprawy przeciw owej szlachcie rozbojem żyjącej, tu ich karał nie mieczem, jak tego żądali opierając się na swych prawach, ale strykiem. Kościół ś. Klemensa, stojący jeszcze niedaleko, miał być wzniesiony, by za dusze straconych mszę wieczystą odprawiano. Podanie jednak inny mu daje początek. W jednym z zamków pobliskich żyła panna cudnej urody; pan na Rheinsteinie starał się o jej rękę, ale zyskał odmowną odpowiedź. Postanowił więc gwałtem piękność uwieść. Zamiar swój doprowadził do skutku, i już na statku prowadził swą zdobycz do zamku. Nagle na Renie powstaje burza, jakiej nie pamiętali sternicy, wszystko zwątpiło o ocaleniu. Porwana wówczas ślubuje kościół S. Klemensowi, jeżeli ją wybawi z rąk śmierci i z rąk uwożącego wroga. Święty w swych biskupich szatach staje u czoła, podaje rękę dziewczycy, ta suchą nogą stąpa z nim po wzburzonych bałwanach i wstępuje na brzeg, gdy czołno z ludźmi pana na Rheinsteinie pochłania rzeka. Tak mówi podanie.

Na prawym brzegu nic ciekawego dla oka; Assmannshausen słynie wprawdzie winami, które należą do najlepszych reńskich win czerwonych, ale wioska sama uboga, bo od niepamiętnych czasów uprawa wina należała tutaj do klasztorów i rozmaitych panów świeckich i duchownych; zresztą żadnego wspomnienia, żadnego podania. Za to lewy brzeg wstępujący w rzekę jak półwysep z piękną wioską Trechtlingshausen,

kiedyś *Trajani castrum*, pełną owocowych ogrodów, nagrodzi nas. A najprzód widzimy przed nami ruiny zamku Sonek albo Sanek, tak zwane od lasu Son lub San, który od Nahe tutaj się ciągnął. Należał on do potężnej rodziny von Waldeck, znanej w podaniach i dziejach rozbójniczych baronów. Gdy związek miast nadreńskich wyruszył w pole przeciw potężnym nieprzyjaciołom, Sonek z zamków pierwszy poddać się musiał. Wkrótce jednak ruinę odbudowano na nowo, a rodzina Waldeck prowadziła dalej swe rozboje, dopóki w r. 1282 Rudolf Habsburgski zburzeniem zamku końca im nie położył. Dawni właściciele do dawnego wrócili gniazda, a ostatni z rodziny Waldeck umarł w wieku XVI. Zamek Sonek należy do najlepiej zachowanych ruin nad Renem, czeka na zamożnego i światłego właściciela, któryby go z gruzów podźwignął, zachowując, jak zamkowi Rheinstein, jego charakter właściwy. Przy ujściu Heimbach nad jedną z dwóch wiosek leży Heimburg, stara ruina rzymska, o której nawet podania milczą.

Głębiej w górach spotykamy ruinę Falkenburg. Legendy liczniejsze jak w innych zwałiskach unoszą się nad tą kolosalną masą ciemnego bazaltu, niby masą lawy przez cyklopów w kształt twierdzy zsypaną. Tutaj żyli Gontran i Liba, których smutną miłość tyle legend opowiada; tutaj rycerz wierny swej narzeczonej znalazł ją po latach stu, niezmienną sercem a zgrzybiałą postacią. Zły duch pod maską starca wywiódł go na polowanie, które lat sto trwało; rycerz talizmanem cudownym uchronił się zasadzek czarta, ocalał i wrócił młody, bo talizman odganiał starość. Każdy zna inną legendę o tej ruinie, każdy ją opowie z wiarą w naiwnym swym języku. Dziś Falkenburg, zwałisko nad inne piękniejsze, może bardziej ponure, szczególnie gdy doń zbliżamy się od strony łądu; las, skały, parowy, zasłaniają oczom tę masę murów, te cztery wieże czarne, odarte, straszliwe. W jednej płyta marmurowa grobowca z czternastego wieku, ukryta kiedyś pod bujnym zieleń i krzewami, przedstawia w wysoko-rzeźbie statwę leżącego rycerza z głową uciętą, bez nazwiska, z prostym tylko napisem łacińskim, że ciało w tym grobie jest tak bez głowy jak rycerz na grobowcu. Dawno zajmuje ona uwagę miejscowych starożytników, legendy milczą zupełnie o tej zapełnionej smutnej historii.

Nad wioską Rheindiebach, w bogatym gruncie położoną, wznoszą się ruiny zamku Fürstemberg, które dziś jeszcze świadczą o wielkości znakomitej i sile tej twierdzy. Sztuka i natura zrobiły zamek ten niezdobytym; by go zupełnie oddzielić od blisko leżącej góry, właściciele wysadzili w powietrze skałę służącą

za przejście. Nad tą sztuczną przepaścią zawiesili most zwodzony. Dlatego też panowie na Fürstembergu mogli śmiało trzymać w niewoli hrabiego Nassau, wybranego cesarzem rzymskim, dopóki nie złożył okpu. Zamek zburzyli Francuzi, ale mury silne oparły się i ludziom i większemu od nich niszczycielowi, wiekom: dotąd jeszcze stoją potężne, a pomiędzy niemi wznosi się olbrzymia wieża okrągła, dziwnego kształtu, bez okien, z kilku strzelnicami tylko, zdobywana w r. 1321 przez Bawarów, w r. 1632 przez Szwedów, w r. 1681 przez Francuzów. Naprzeciw leży Lorch, najdawniejsze z miasteczek nadreńskich z ruinami zamku Fursteneck, wzniesionego przez arcybiskupa Henryka III w r. 1348. Lorch wspominają już dokumenta z r. 832 jako miasto, dziś nie pozostało śladu dawniejszego znaczenia, tylko ruiny zamków, naokoło i naprzeciwko, siedliska dawnych baronów: tylko kościół w pomniki bogaty. Lorch może liczy 1800 dusz ludności, rozciąga się nad Renem i Wisper, u której ujścia leży. Dziś ta wesoła i gościnna wioska wzrasta w pomyślność pomiędzy skieletami starych zamków, które kiedyś tylko groźbą dla niej były. Dolina Wisper jest ojczyzną małych wieszczek, koboldów, duchów leśnych, złośliwych i dziwacznych; imto winniśmy tak zwaną drabinę djabła, widoczną na stromej, prawie prostopadłej skale Kedrich, wznoszącej się nad Lorch. Kiedyś waleczny Sibon mieszkał w swym zamku blisko Kedrich; gościnność nie była jego cnotą, odpędził więc od bram swoich starca o schronienie proszącego. Ów starzec był duchem gór, zamieszkującym niedostępny Kedrych. Duch pomścił się uprowadzając ukochaną córkę Sibona, Garlindę, na szczyt Kedrychu, gdzie ojciec codziennie ją widział a wyswobodzić nie mógł. Duch gór i siostra jego obchodzili się jednak z Garlindą jak z córką, tylko ojca karali. Tak przeszło lat cztery. Do zamku przyszedł waleczny rycerz z ziemi węgierskiej Ruthelm, ten postanowił uwolnić dziewczę. Siostra ducha gór, ludzkie słabości dzieląc, pragnęła wyswatać Garlindę, widząc tak dzielnego rycerza. Nakłania swego brata, ten buduje drabinę, po której Ruthelm na wierzech wjeżdża i narzeczoną dla siebie uprowadza. Inna legenda mówi; że kochankowi ojciec odmawiał córki, dopóki nie wjedzie na szczyt Kedrychu konno. Zakochany rycerz przy pomocy usłużnych koboldów jednej nocy zbudował wschody, po których wjechał na swym wojennym rumaku.

Za Lorch leży wioska Lorchhausen, kiedyś granica Phalzu i arcybiskupa mogunckiego, dziś jeszcze dwoma szubienicami oznaczona; nad wioską wznoszą się ruiny zamku Sarek.

**BACHARACH.**

**B**acharach, starożytne *Bacchi ara*, przed nogami rozrzucone, to po zielonych wzgórzach winnicami pokrytych, to nad rzeką. Przy Bacharach, Oberwisel, Andernach, St. Goar (sąto miasta zupełnie nowożytne) Bacharach cudownym sposobem ustrzegło się Wolterowskiego smaku, i Francuzów, i wojen Ludwika XIV, i dział 97 i 1805 r., a co najwięcej uchroniło się architektów rozsądnych i wykwintnych razem, budujących domy w kształcie komód i szafek. Bacharach, to zbiór ciekawości rozrzuconych po górze, jak na olbrzymiej etażerze. Pod wodą już ciekawości się zaczynają: z jej łona wygląda skała wulkaniczna według jednych, celtycki ołtarz według innych, *ara Bacchi* według uczonych. Dalej tuż nad brzegiem cztery stare tułowy statków, stoczone, omszone, przecięte na dwoje, służą za chatę dla rybaków. Za chatą mur stary, kiedyś z blankami, z czterema kwadratowymi wieżami po rogach, poszczerbionymi, potłuczonymi od kul, rozsypującym się. Przed murem, w którym domy wybiły sobie okna i galerye, i za nim u stóp góry tłum nieopisany najdziwaczniejszych budowli, chat jak cacka, wieżyczek fantastycznych, facyat pokrzywionych, szczytów cudownych, których podwójne schody dźwigają lekkie dzwonniczki wyskakujące jak szparag, ciężkie belki rysujące delikatne arabeski, strychy w woluty, balkony rzeźbione, kominy w kształcie tiar i koron pełne dymu, chorągiewki fantastyczne z literami ze starych manuskryptów wyciętymi w blasze,



Linkes Ufer

→ L. B. Bank

Rechts Seite 11



Neu-Rheinstein

St. Clemens Church  
Eglise de St. Clément

Ruine Falkenburg  
(Reichenstein)

L. U.

→ L. B.

R. g. 11



Tredtlinghausen

Ruine Sonck

Niederheimbach

L. U.

→ L. B.

R. g. 12



Niederheimbach

Ruine Heimbach

Rheindiebach

Ruine Fürstenberg

Ruine d. kl. Fürstenthal



Assmannshausen



Lorch



Lorchhausen.

Ruine Nollingen  
<http://rcin.org.pl>

Mouth of Wisperbach. Lorch  
Junction du Wisperbach





skrzypiące za każdym powiewem wiatru. W tej massie cudownej, plac pokrzywiony, utworzony przez mury domów spadłych z nieba bez ładu, mający więcej zatok, wysepek, skał i przylądków, jak jaki golf norwesk. Z jednej strony tego placu dwa wieloboki złożone z budynków gotyckich, pochylonych, pokrzywionych, a jednak stojących na przekor wszystkim zasadom geometrii i równowagi. Z drugiej strony piękności rzadkiej kościół architektury romańskiej z portykiem, z śmiało wzniesioną dzwonnica, i wszędzie nasadzony grobowcami architektury odrodzenia, jak relikwiarz brylantami. W górze kościół bizantyński; na pół spadku góry, zwaliska innego kościoła XV wieku z czerwonego kamienia bez drzwi, bez okien, bez dachu, pyszny skielet dumnie rysujący się na horyzoncie. Nakoniec na szczycie góry, jakby korona gruzu, ruiny pokrytego bluszczem zamku Stahloch, rezydencyi hrabiów Palatynów w XII wieku. To wszystko stanowi Bacharach.

Cudowne to miasteczko, pełne legend i podań, zajmuje ludność malownicza. Wszyscy tam, starzy i młodzi, dzieciaki i dziadowie, chłopcy i dziewczęta, w spojrzeniu, w rysach, w postawie, noszą jakąś dziwną cechę z XIII wieku, co nie przeszkadza wszakże ładnym dziewczętom być tam ładnymi, i owszem.

Z szczytu zamku widok niezmierny, pomiędzy przerwami gór odkrywamy pięć innych zamków w ruinach: Fürstenberg, Sonck i Haimburg; z drugiej strony rzeki rozległy Gutenfels, pełen wspomnień Gustawa Adolfa; a na zachód ta wiązka czarnych wież, to zamek niegościnnie Sibona von Lorch.

Bacharach leży w dzikiej okolicy. Mgły ciągle prawie uczezione u jego wysokich ruin, strome skały, rzeka ciemna i szumiąca godnie otaczają to miasto stare i surowe, które było rzymskiem, należało do Franków, było gotykiem i nie chce zostać tegoczesnem. Pasma skał je otaczających nie pozwala zawinąć parostatkom i zdala trzyma cywilizacją.

Zadna nuta fałszywa, żadna facyata biała z zielonemi okienicami nie psuje tej surowej harmonii. Ren dumnie szumi pod Bacharach, zdaje się kochać i strzedz z miłością starego grodu. Na strzał samopału od miasta wlejek skał tworzy wir, naśladować pianę i huk oceanu. Ten wir nazywają Wilder-Gefachrt. Więcej jednak straszny, ale mniej jest niebezpieczny jak ławy pod St. Goar.

Kiedy słońce rozegna chmury, nie bardziej uroczego jak Bacharach. Te wszystkie facjaty poorane i omszone rozjaśniają się. Cienie wieżyczek i chorągiewek rysują tysiące dziwacznych kątów. Kwiaty wraz z kobietami zjawiają się w oknach, a na progach domów w gromadkach wesołych i spokojnych, starcy i dzieci grzeją się promieniem południa.

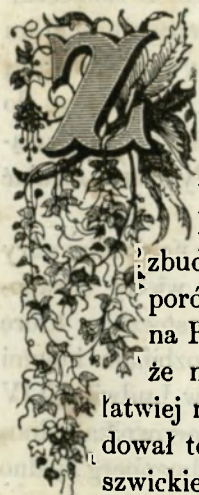
W Bacharach podróżny jest fenomenem, wszystkich oczy ścigają go z zdziwieniem. Oprócz jakiego biédnego malarza, który z mantelzakiem na plecach piechotą wędruje, nikt nie zwiedza stolicy, której się wyrzekli hrabiowie Palatyni, której unikają parostatki, którą wszystkie *Guides du voyageur* na Renie nazywają smutném miastem.

Do roku 1119 Bacharach było tylko wioską, którą arcybiskup Bruno z Trewiru, darował klasztorowi ś. Andrzeja; później jako własność Palatynów miało komorę tak bogatą, że ją nazywano złotą. Dziś liczy tylko 1850 dusz ludności; handel jego dość znaczny, ale jest niczém w porównaniu z dawną świetnością; tu bowiem na czólnach zwożono wszystkie produkta i wina nadreńskie, dopóki nie przewyciężono zapor Bingerlochu. Właściwie to miasto należało do Kolonii, która oddała je w lenność Goswinowi von Stahleck. Jego syn Herman od Konrada III otrzymał godność Pfalzgrafa (palatyna Renu), gdy pierwsza linia Palatynów wymarła. Ponieważ jednak prowadził wojnę z biskupami Warmacyi i Spiry, Fryderyk Rudobrody jako burzyciela pokoju publicznego skazał na hańbiącą karę noszenia szczeniąt. Herman tém doknięty usunął się do klasztoru i tam zgasł bezpotomnie. Palatynat dostał się po nim Konradowi, pobocznemu bratu cesarza; Bacharach i zamek Stahleck były stolicą pfalzgrafów, dopóki Otto w r. 1240 nie przeniósł jój do Heidelbergu. Zamek z rozległemi, silnemi fortyfikacyami, z wieżą we środku, której mury były grube na stóp 14, oblegano i brano ośm razy w czasie wojny 30-letniej. Elektor Karol Ludwik odbudował go w r. 1666, ale ta nowa budowa nie ostała się długo: Francuzi ją zburzyli i miasto zrabowali za wojen Ludwika XIV.

Wino Bacharachu kiedyś było wysoce cenioném. Cesarz Wencesław za cztery jego oksefty darował wolność miastu Norymberdze. Zresztą, dzięki skale podwodnej, mieszkańcy wiedzą jaka w każdym roku będzie dobroć tego płynu. Jeżeli skała podwodna pokazuje swą głowę w miesiącu lipcu, zbiór będzie dobrym; to jednak zdarza się tylko w latach wielkiej suszy.

## VII.

### NA RENIE.



Bacharach żegluga grozi niebezpieczeństwem, gdy wicher poruszy bałwany. Rzeka pędzi tutaj z wielką siłą przez skały, na które łatwo wiatr rzucić może. Raz przebywszy ten punkt, Ren formuje jezioro wśród którego stoi Pfalzgrafenstein. Ten zamek, kiedyś zwany Pfalz, zbudowany w kształcie wielokąta na wysepce, ozdobiony mnóstwem wieżyczek z flagami, słusznie porównywanym bywa do okrętu. Zbudował go Ludwik Bawarski, by zapewnić sobie pobór cła na Renie, które opłacano w Kaub. Zarzuca mu to papież Jan XII w bulli wyklęcia z roku 1326, że na Renie na wyspie zbudował bardzo silną twierdzę pod Kaub, by przekłete swoje opłaty łatwiej mógł popierać i ucisku dokonywać. Podanie mówi: że palatyn Konrad von Staufen wybudował ten zamek, by ustrzedz łatwiej swą córkę Agnes od starającego się o jej serce Henryka Brunszwickiego, ponieważ jej rękę przyrzekł cesarzowi dla innego. Ani zamek, ani straż nie pomogły: przy pomocy matki i babki, jak mówi ballada, kochankowie się pobrali ku wielkiemu niezadowoleniu ojca i cesarza. Zony palatynów odbywały tutaj zwykle słabość, dotąd pokój na ten cel przeznaczony pokazują. Ciekawi zwiedzają też studnię, wybraną w skale o 20 stóp niżej jak łożysko Renu, której wody z-wodami rzeki zupełnie związku nie mają.

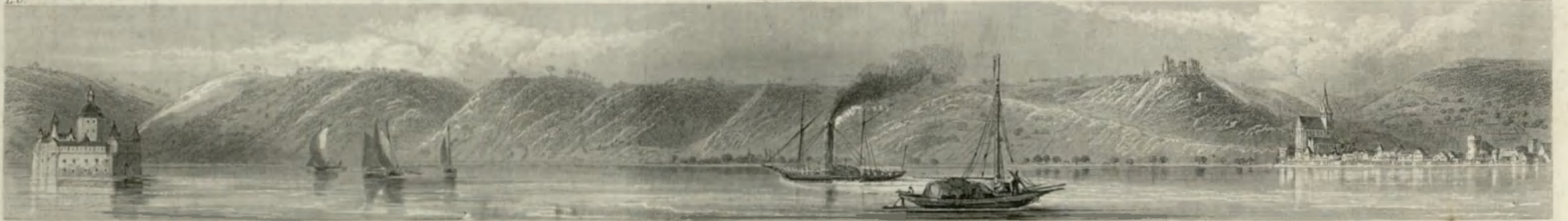
Naprzeciw Pfalzu leży miasteczko z 180 domów i 1500 ludności zwane Kaub; handel i żegluga nadaje mu byt dobry, ale nie ma ono dziś tego znaczenia jak kiedyś. Miasto było dawniej silnie ufortyfikowane i połączone z zamkiem Gutenfels; miało ono kiedyś wielu panów, narazie Werner von Minzenburg-Falkenstein sprzedał go palatynowi Ludwikowi Surowemu za 1000 marków srebra. Kiedyś Gutenfels zwał się zamkiem Kaub; nazwisko jego podobno od hrabiny Guta od r. 1504 datuje, w którymto czasie landgraf Wilhelm Heski zamek przez sześć tygodni naprzód oblegał, o czym mówi legenda wierszem na kamieniu, przechowywanym na komorze w Kaub. Cesarscy w 1620 wzięli go po oblężeniu i trzymali do r. 1631; ustąpili oni Hessom, dopóki w r. 1642 nie dostali się napowrót zdradą. Gustaw Adolf zamieszkiwał w tym zamku i wydawał ztamtąd rozkazy przeciw Hiszpanom, którzy z przeciwnego brzegu bronili im przeprawy; od niego to nazwa sali królewskiej. I w nowszych czasach ta twierdza wytrzymywała szturm; dopiero w r. 1807 Francuzi ją zburzyli. Tutaj to w noc nowego r. 1814, Blücher po moście rzuconym do Pfalzu a ztamtąd do przeciwnego brzegu, przeprowadził się z pruską armią, kiedy generał Sacken z armią szląską uderzył na szance francuzkie i po walecznej obronie zabrał je, poczem obie armie mogły razem działać przeciw Moguncyi.

Za Kaub, pomiędzy dwiema górami, spotykamy piękne miasteczko feudalne, rozrzucone na spadku góry i na brzegu Renu, z starymi ulicami, czternastu wieżami opatrzonemi w blanki, mniej lub więcej udrapowanemi w bluszcze, i dwoma kościołami najpiękniejszej epoki gotyckiej. To Oberwesel miasteczko, które może najwięcej wojowniczego ducha żywi ze wszystkich miast nad Renem; mury ma porozbijane kulami działowemi, można tam poznać ślady wielkich kul żelaznych arcybiskupa Trewiru, kartaczów Ludwika XIV i artylerji nowej francuzkiej. Dziś Oberwesel jest to stary żołnierz, który zamienił się w hodownika winogron. Jak wszystkie miasta nad Renem, Oberwesel posiada na górze swą ruinę, zamek Schoenberg, jedno z najpiękniejszych zwalisk w Europie. Miasto liczy 2700 dusz ludności, słynie swem winem czerwonym i połowem łososi, których pomiędzy Wesel i St. Goar wielkie mnóstwo. Oberwesel szczyci się znakomitą starożytnością. Już Rzymianie o niem wspominają, chrześcijaństwo opowiadaniem w niem być miało za cesarza Aleksandra Sewera. Za Fryderyka II miasto otrzymało tytuł i przywileje wolnego cesarskiego grodu;





**Bacharach**  
 Ruine Ruins of St. Werners Church  
 Stahleck Ruine de l'Eglise St. Werner



Die Pfalz

Ruine Schönberg

Oberwesel



Oberwesel



Pfalz



Burgen Gütenfels

Kraub



The 7 Virgins. Les 7 Vierges.

<http://rcin.org.pl>

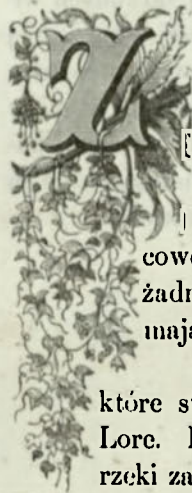




gdy jednak cesarz Henryk II zastawił je swemu bratu Baldwinowi z Trewiru, swobody jego ograniczono, i dopiero po zaciętej walce z jego następcą Wernerem, przywrócono je, z warunkiem jednak, że miasto uzna supremacyą Trewiru. Nad brzegiem Renu stoi prawdziwy gotycki kościół, z wieżą dla swej wysokości zdala widzianą, wzniesiony w roku 1312 przez arcybiskupa Baldwina, bogaty w pomniki, grobowce, obrazy, a szczególnie podziwiany z piękności i śmiałości swego sklepienia. Ruina Schoenberg nosi swe imię od siedmiu panien, córek jakiegoś burgrafa, które pięknnością swą zawracały głowy całemu rycerstwu z okolicy. Wszystko starało się o łaskę, względy najmniejsze, spojrzenie; każdy sądził że był życzliwiej od innych widziany; pojedynki nie ustawały i wiele szlachetnej krwi pociekło. Nikt jednak nie zyskał serca ani jednej z siedmiu panien, bo w dumę wzrosłe ubóstwieniami, pogardzały hołdem. Jakiś czarownik wreszcie, opiekun młodzieży miejscowej, rozgniewany tą nieczułością, zamienił je w siedm skał nad Renem. Rybacy mówią, że piękne córki burgrafa odżyją z dawnymi wdziękami, gdy jaki książe te siedm skał rozbije i kamień z nich na kaplicę obróci. Może kasztelanki nadreńskie nie czekałyby tak długo, ale niebezpieczne są żeglarzom tylko gdy woda je pokryje, przytęm znane są sternikom; nikt więc nie myśli wybawić ich z zaklęcia.

## VIII.

### PIĘKNA LORE.



La Siednioma Dziewicami Ren coraz się bardziej ścieśnia, po obu brzegach wznoszą się strome skały ciemnego łupku, rzeka z szumem przez nie się przedziera, żłobiąc głęboko swe koryto. Widok tu ponury, ciemny, melancholijny; winnica nie zieleni na skale, drzewo owocowe na brzegu, ludzie też uciekają z tej dzikiej okolicy, nigdzie śladu uprawy, nigdzie domu żadnego, bieg Renu jest w tym punkcie tak szparki, że na odległość 500 kroków jego wody mają spadku 5 stóp.

Lurlej wznosi się tutaj jak wielki bazaltowy przylądek, z wody wyglądają czoła skał, które stoczyły się z jej boków i rafami zasiały tu rzekę. Na szczycie tej góry przebywała bogunka Lore. Pięknato była dziewczica, lat jej było ośmnaście, tak piękna, że przewoźnicy jadący za biegiem rzeki zapominali o sterze statków, patrząc na nią, a statki samopas puszczone rozbijały się o skały. Biskup zamieszkujący miasto Lorch zasłyszał o tych nieszczęściach tak częstych, jakby skutek jakiegoś uroku, a ponieważ matki, córki i żony zginionych w żalobnych sukniach, w wielkiej processyi oskarżały przed nim Lore o czarodziejstwo, zapozwał ją przed swój trybunał.

Piękna Lore przyjsię przyrzekła, ale w dniu zapozwu zapomniała o tém, aż biskup posłał dwóch ludzi po nią, a ci znaleźli ją, jak zwykle, siedzącą na szczycie skały. Śpiewała starą balladę powtarzaną

przez niańki przy kolebce dzieci. Nie opierała się wcale wysłanym, na ich wezwanie wstała i poszła do Loreh. Biskup chciał ją badać surowie; zaledwie ją ujrzał jednak, nie uchronił się ogólnego uroku, utkwił swój wzrok w jej oczy i głosem zdradzającym litość dla biednej dziewczyny zapytał:

— Czyto prawda, piękna Lore, żeś jest czarodziejką?

— Boże, Boże, żebym była czarodziejką — odpowiedziała — miałabym urok, by zatrzymać kochanka mego, i kochanek mój nie byłby pojechał w podróż daleką, i ja bym dnie i nocy nie czekała nań na szczycie skały, śpiewając ulubioną jego balladę. To mówiąc Lore zaczęła przed biskupem śpiewać balladę, poczem biskup poznał że była obląkaną.

Więc nie myśląc już o karze, ulitował się jej bardzo, a lękając się, by, zgubiwszy tak swe ciało, nie zgubiła duszy, rozkazał odwieźć ją do klasztoru Marienberg i polecił ją w bulli przeorzyszy, która była jego krewną.

Piękna Lore pojechała na najłagodniejszym koniu jaki był w mieście, bo biskup lękał się, by jej co złego nie wydarzyło się w drodze; sam stał na ganku dopóki Lore i orszak nie znikli za zamkiem Nottingen. I tak jechano szczęśliwie aż do skał, na których zwykle przebywała. Ale gdy owe skały ujrzano, zaczęła prosić, by jej pozwolili wstąpić na ich szczyt, bo raz jeszcze chce spojrzeć na Ren i zobaczyć, czy tak długo oczekiwany nie przyjeżdża; a że biskup nie kazał jej się w niczem sprzeciwiać, dwóch ze straży pomogło jej zsiąść z konia i szło za nią, by ją chwytać, gdyby uciekać chciała. Zaledwie jednak dotknęła ziemi, pobięła tak lekko jak jaskółka, niby nie dotykając gruntu, a skakała ze skały na skałę by też najwyższą i najbardziej stroną, iż zdawało się że to cień a nie ludzka istota.

Tak dobiegła do szczytu góry, która się wznosi nad rzeką; wzięła harfę zostawioną tam wczoraj i tym smutnym głosem, co pamięć słuchającym odejmował, zaczęła śpiewać balladę swoje. Ale tym razem gdy balladę skończyła, przycisnęła harfę do piersi, wzniosła oczy ku niebu i tak spadała lekko nie jako ciało lecące z góry, ale jako unosząca się gołąbka. W tej chwili do szczytu doszła straż, ale Lore już znikła w rzece.

Straż wróciła do biskupa i opowiedziała mu co zaszło; biskup wstrząsnął infułą i rozkazał odprawiać msze za duszę biednej szalonej, ale sam miał mało nadziei w skuteczności środka, bo wiedział że najcięższy grzech do odpuszczenia jest samobójstwo.

W istocie wkrótce dowiedział się, że znowu dojrzano piękną Lorę na skale i że na jej widok, na jej głos tak słodki, znowu ginęli żeglarze; ponieważ zaś wiedział że Lore, rzuciła się do rzeki i że tym razem w istocie był jakiś urok, wezwał do siebie astrologa wielce uczonego w czarnoksiężkich sprawach.

Uczony radził się gwiazd i rzekł biskupowi, że piękna Lore naprawdę umarła, ale że umarła w grzechu śmiertelnym, skazana jest więc na wracanie do miejsca, w którym przebywała za życia, dopóki młody rycerz nie zatrze w jej sercu wspomnienia pierwszej miłości. Biskup rozkazał tylko, by się strzeżono topielicy Lore, albowiem za karę swego grzechu została złośliwą bogunką; i wierzono temu, bo śpiew kiedyś tak słodki teraz był szyderczy, a gdy żeglarz rozbijał się o skały, na jego krzyk rozpaczy odpowiadała głośnym śmiechem, jak puchacze w nocy na wołanie podróżnika zbłąkanego.

Tak szły rzeczy przez lat sto. Biskup umarł. Pokolenie, które widziało Lore żyjącą, opowiedziało jej dzieje pokoleniu następnemu i tak przez cztery pokolenia opowiadano sobie, jako tam na skale siedzi złośliwa bogunka, widmo, które się śmieje straszliwie, gdy jaki żeglarz tonie u brzegu.

Sto lat z górą minęło, cesarz Maxymilian zasiadł na tronie, gdy razu jednego młody strzelec zbłąkany z doliny Lingrenhopf ujrzał Ren; wieczór był ciepły, a w takie wieczory każda woda świeża i chłodna ścią do siebie; młody ten rycerz, zmęczony polowaniem, zsiadł z konia i szedł się kąpać; ale nim rzucił się do wody uderzył w róg myśliwski, by dać znak służbie gdzie się znajduje; ale głos rogu powtórzono tak wyraźnie, że myślał, iż który z dojeżdżaczy odpowiada mu; zdziwiony zagrał inną pobudkę i tę wyraźnie powtórzono, zagrał trzecią, toż samo; pomyślał że echo, i rzucił się do wody.

Walter, tak się nazywał młody rycerz, był synem hrabiego Palatyna, miał lat ośmnaście za ledwie i był nie tylko najpiękniejszym, ale najdzielniejszym i najzręczniejszym ze wszystkich panów i rycerzy, którzy od Moguncyi do Ninwegi zamieszkiwali brzegi Renu.

Na widok tego pięknego chłopca, z którego szydziła dopiero, powtarzając głos jego rogu, bogunkę Lore przejęło uczucie oddawna zamarłe w jej sercu; zmieszanie swe przypisywała litości. Myliła się. Byłato miłość. Młody człowiek też zoczył ją na skale i płynął ku niej; Lore widziała to z radością i zaczęła śpiewać balladę swą, którą wszyscy oprócz niej zapomnieli. Walter zbliżał się ciągle. Nagle Lore wspomniała, że pływaka od niej oddziela przepaść, która tylu pochłonęła; zamilkła więc, znikła i wszystko ogarnęły ciemności.

Walter poznał omamienie; przypomniał sobie przepaść, wrócił się, czas był jeszcze. Siła i zręczność doprowadziła go do brzegu. Tam czekał nań starszy koniuszy Blum; usłyszał on potrójny odzew rogu i pospieszył na miejsce. Wkrótce też zebrała się cała drużyna i wszyscy ruszyli do zamku; każdy wesoło rozповідаł o wypadkach dnia tego, tylko Walter jechał milczący, z głową na piersi zwieszoną, jechał i myślał o tém cudowném widzeniu, które znikło tak rychło, a zostawiło tak silne wspomnienie.

Na drugi dzień i innych dni próżno żeglarze patrzeli na Lei, nie ujrzeli bogunki.

Zato, wszystko co Walter przedsięwziął szło mu po myśli, jakby duch jaki czuwał przy nim i rękę jego prowadził. Jeżeli niebo okryte było chmurami, które groziły najstraszliwszą burzą, dość było by Walter wyszedł a słońce wracało natychmiast. Jeżeli w okolicy mówiono o koniu, którego nikt dosiąć nie mógł, Walter zaledwie był na siodle, a rumak stawał się spokojnym jak owca; gdy na polowaniu miał pragnienie, źródło czystej wody dotąd nieznanne biło zpod drzew; dopiekała sieka, kwiaty dlań wyrastały. Jakoż na całym brzegu Renu mówiono tylko o jego zręczności i szczęściu; jego strzała donosiła zawsze do celu, czy to nim był orzeł szybujący w obłokach, czy sarna w największej gęstwinie się chroniąca; jego sokoły były najśmielsze, jego psy najwierniejsze.

Jednego dnia tedy, gdy jego sfora goniła sarnę, gdy dla ścieżki zbyt stromej zsiadł z konia, młody strzelec zabląkał się, a chociaż miejsce było mu znane, próżno szukał drogi, bo jakiś urok pozmieniał rzeczy w oczach jego. Ale pędzony siłą nieprzepartą, szedł ciągle naprzód; wkrótce zasłyszał dźwięk harfy, szedł więc dalej za głosem, myśląc że jest w bliskości jakiego zamku. Ale głos przed nim uciekał, nigdy zbyt daleko, by przestał go słyszeć, nigdy dość blisko, by mógł ujrzeć grającą.

Tak szedł od zmierzchu do północy. O północy znalazł się na szczycie góry wzniesionej nad Renem; na prawo i lewo rzeka wiła się jak szeroka srebrzysta wstęga. Walter wdarł się na ostatni cypel i tam znalazł siedzącą kobietę.

Kobięta owa trzymała w ręku harfę, której dźwięk prowadził Waltera: mgliste światło jako blask zorzy otaczało ją, jakby nie mogła żyć ludzkim powietrzem, a uśmiechała się tak cudownym uśmiechem, że w uśmiechu tym było wszystko, od pierwszego wyznania miłości do ostatnich obietnic rozkoszy.

Walter poznał zaraz tajemniczą istotę, którą ujrzał owej nocy, kąpiąc się w Renie; chciał już iść do niej, ale przypomniał sobie co mówiono o Lore-Lei, a że był pobożny zrobił znak krzyża; światło zciemniało, Lore wydała krzyk i znikła jak cień.

Choć znikła z przed oczu Waltera, nie znikła z umysłu jego; ciągle słyszał on tę harmonijną muzykę, której dźwięk doprowadził go do góry, i ledwo zamknął oczy, widział tę piękną wieszczkę, która jaśniała owym dziwnym światłem, która przyjęła go tak słodkim uśmiechem.

I tak Walter wpadł w głęboki smutek, bo przy owym obrazie ciągle obecnym jego pamięci, żadna kobięta nie była dlań piękną; a że wiedział, iż wzdycha za czemś nie z tego świata, za każdym razem gdy go się pytano, potrząsał głową i wskazywał na niebo. Wreszcie pewnego dnia, ojciec rozkazał mu przygotować się do wyjazdu. Cesarz Maxymilian do Wormacyi zjechał, a że się gotował na wojnę, zwoływał do siebie najdzielniejszych rycerzy. Oczy Waltera chwilę zajaśniały radością na myśl o sławie, którą mógł zyskać w boju, i odrzekł ojcu, że gotów jechać. Ale nazajutrz znowu popadł w smutek swój zwykły, ciągle słuchał śpiewów, których nikt nie słyszał, ciągle miał przed oczyma obraz, którego nikt nie widział; a stary koniuszy, widząc nieustające zamyslenie, przyspieszał jak mógł wyjazd, licząc na rozrywkę pana przy dworze.

Ale w wigilię dnia tak niecierpliwie oczekiwanego, Walter zawołał starego Bluma. Koniuszy zastał swego pana smutniejszym jak zwykle, jednak pan jak zawsze powitał go łaskawie i rzekł staremu, że chce raz przed odjazdem łowić ryby na Renie z nim razem. Blum, który nie raz zarzucał sieć z młodym swym panem, przystał na to chętnie, i rozkazał, by czólno czekało na nich u wioski Urbar.

Był to jeden z tych wieczorów wiosennych, kiedy cała przyroda, przebudzona ze snu swego, harmoniǳnie, jak gdyby wszystka rzecz stworzona głosem swym, który Bóg dał równie żywióm jak ludzióm, hymn Panu śpiewała; wiatr śpiewał niepojęte melodye, wieczór rozlewał dziwne wonie, rzeka odbijała niebo w swém łonie jak w zwierciadle, a gwiazdy spadające wśród ciszy powszechnej w milczeniu ciekły ku ziemi.

Stary Blum zarzucił sieć, ale Walter zamiast myśleć o połowie patrzył w Niebo, a czółno cofało się za biegiem rzeki. Nagle znaną dobrze melodyę dosłyszał młody hrabia; wzniósł oczy i ujrzał Lore na skale. Trzeci to raz w ten sposób mu się zjawiła: ale nie myślał od niej uciekać, bo jej szukać przyjechał; schwycił więc wiosło i zaczął robić ku brzegowi. Blum, któremu ten ruch pomotał sieci, postrzegł że czółno prosto ku przepaści płynie. Wyrwał więc wiosło z rąk Waltera, ale już było zapóźno; czółno porwane prądem, pomimo wysilenń starego ciągle cofało się. Już słychać było huk wiru, który przyzywał zdobycę swoje. Blum rzucił wiosła, myśląc, że wpław jeszcze oba wyratować się zdołają; ale Walter wyciągnął dłonie do cudownego widzenia, które suwało się po skale i zbliżało się doń; Blum go zaklinał, Walter był głuchy i niemy. Stary sługa chciał się z nim rzucić do wody, Walter go odepchnął. Wówczas wierny koniuszy, nie mogąc pana ocalić, postanowił zginąć z nim razem, ukląkł więc w czółnie i zaczął się modlić za obu, Walter o modlitwie nie myślał. Barka ciągle posuwała się ku przepaści, wir ciągle głośniej huczał; wśród ciemności widać było okryte pianą czarne głowy skal, każda zaś z nich zdawała się pocziwemu Blumowi straszdyłem, wyszłem z rzeki na pożarcie płynących. A Lore, otoczona tém bladém światłem, wydawała się jako statua alabastrowa wśród której goreje lampa. Zbliżała się ona z swym słodkim uśmiechem, wyciągając do młodzieńca dłonie, jak młodzieniec do niej swoje wyciągał; już zstąpiła ze skały i jak mgła ślizgała się po wodzie; wówczas Blum poczuł że barka zadrzała, jako żyjąca istota, gdy się zbliża chwila jej zguby; ujrzał że jest o kilka kroków od przepaści pomiędzy skałami. Walter i Lore już się mieli połączyć; nagle czółno, jak ręką olbrzyma porwany, pogrążył się w głębokościach rzeki; za ledwie Blum miał czas zrobić znak krzyża, uderzył głową o skałę i stracił czucie. Gdy przyszedł do siebie, leżał na piasku u stóp skały.

Biedny koniuszy wołał Waltera, szydercze echo Lei tylko mu odpowiadało; postanowił więc wrócić do zamku. Wpół drogi spotkał hrabiego ojca, który szedł sam szukać syna. Blum padł mu do nóg i okrył głowę płaszczem na znak żałoby.

Nareszcie musiał rzecz wyjaśnić. Opowiedział ojcu jako dwa razy młody hrabia uniknął uroku bogunki Lore i jako za trzecim sam jej szukał. Łza jedna nie spadła z oka hrabiego, chociaż stał jak skamieniały z bólu. Nakoniec zawołał: „Kto mi dostawi tę piekielną czarownicę żywą lub umarłą, tego wynagrodzę po królewsku.“ — Jeżeli tak panie — zawołał Blum — pozwól, bym ja tego spróbował; bo na duszę mego młodego pana, pomszczę go albo zginę! Hrabia głową skinął na znak przyzwolenia i wrócił do zamku, gdzie się zaparł w swej komnacie, nie wyszedł dzień cały, nikogo z dworzan do siebie nie przyzwał, ale słyszano jak płakał, głośno szlochając.

Wieczorem Blum wybrał ze straży hrabiego najdzielniejszych, by z nim na szczyt góry ruszyli, mniej odważnych u stóp oblawa postawił, by na równinie chwycili, jeżeliby uciekać chciała. Sam ruszył naprzód. Noc była ciemna jako wówczas gdy Walter także na ten szczyt się wdierał; Blum na pierwszym szczycie zatrzymał się, pokrzepił odwagę swoich żołnierzy, i ruszył z nimi aż na sam cypel. Tam ujrzał Lore siedzącą na skale, oczy jej z miłością wlepione były w rzekę. Na ten widok, jakkolwiek wcale niestraszny, zbrojni nie chcieli iść dalej; ale w starym koniuszym gniew tylko silniej zakipiał, sam więc ruszył naprzód wołając: „Przekłeta czarownico, teraz mi zapłacisz za wszystko złe.”

Na ten głos i groźbę bogunka z wolna podniosła głowę i rzekła z swym słodkim uśmiechem: — Czego chcesz starcze i dlaczego grozisz mnie, co tylko cieniem jestem. — Czego ja chcę — zawołał Blum — oddaj mi ciało mego pana, którego wtrąciłaś na dno Renu. Czego ja chcę? chcę się pomścić za tylu innych, którzy zginęli przez twe szatańskie sztuki. — Młody hrabia do ziemi nie należy — odpowiedziała bogunka swym melodyjnym głosem — młody hrabia jest małżonkiem moim, jest królem rzeki której ja królową. Korona jego z koralu, a łożo z piasku miękkiego perłami siane; pałac jego szmaragdowy, kryształowe w nim kolumny; szczęśliwszym jest jak na ziemi; bogactwo jego większe jak wszystkich dzierżaw ojcowskich, bo jego są skarby, które pochłonął Ren od dnia stworzenia do dnia dzisiejszego. Wróć się do ojca i powiedz mu, by





Linkes Ufer.

Left Bank

Rheinische 16.



L. U.

L. B.

R. g. 17.



St. Goar.

Rheinfels

L. U.

L. B.

R. g. 18.





Lurley



St. Goarshausen

Ruine: Die Katze  
(Neu-Katzenellenbogen)



Elventhal

Welnick Die Mous  
(Ruine Thurnberg)



plakać poprzestał. — Kłamiesz złośliwa czarownico — zawołał Blum — ale zemsty mojej nie ujdiesz, chyba że mój młody pan słowem lub giestem ciebie stwierdzi. Ruszaj więc za mną — i szedł z mieczem dobytym do cienia, ale ten potężnym głosem zawołał: — „zaczekaj.“

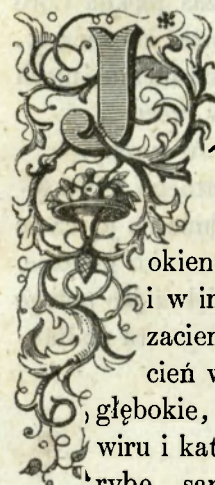
I Lore odpięła sznur pereł i dwie z nich wrzuciła w rzekę. W tej chwili rzeka zawrzała, i dwa bałwany, podobne kształtem do koni morskich, pełzwały z wiru po bokach góry aż do szczytu; na jednej z tych fal stał piękny młodzieniec z twarzą bladą, włosami długimi, który się zdał Blumowi Walterem, tak że koniuszy osłupiał z zadziwienia; i obie fale wznosiły się ciągle aż do stóp bogunki. Wówczas piękna Lore stanęła na jednej z nich, i objąwszy rękoma młodzieńca, dała mu pocałunek; fale powoli zniżać się zaczęły. Blum chciał i tam ścigać bogunkę, ale młodzieniec rzekł doń łagodnie: „Powróć i powiedz ojcu memu, niech plakać przestanie, jestem szczęśliwy.“ Tu oddał swej małżonce pocałunek i oboje zniknęli w rzece.

Od tej nocy nie widziano już na skale bogunki Lore, a żeglarze nie lękali się jej śpiewu syreny.

Dziś szczęśliwa małżonka pięknego hrabiego ma tylko jednego stałego wielbiciela, płatnego przez towarzystwo statków parowych; ten wydłubał sobie dwie jamy na drugim brzegu i ciągle dmie na jej cześć w trąbę myśliwską, lub strzela z pistoletu. Z wdzięków i śpiewu pięknej Lore pozostało tylko echo potężne, które cztery lub pięć razy powtarza huk trąby, strzału, a nawet nutę pieśni majtka, powiększając potęgę głosu. Czólno przepływające Ren dwoma małymi wiosłami robi tutaj hałas tak wielki jak galera maltańska o 50 wiosłach, z których każde poruszało czterech przykutych niewolników.

## IX.

### S. GOAR.



Jak tylko statek przepłynie skały St. Goar, które otaczają rzekę jako ściany kotła, podróżny spotka dziwnie przyozdobione czółna, trzymające się brzegów, albo wypływające bardziej na środek rzeki. Porównywano je do kabrioletów, które, zamknięte skórzanymi ścianami aż do okien, bez koni i dyszla stoją na Renie. Te czółna polują na jesiotra reńskiego. Poławiają go i w innych stronach Renu, ale łososi St. Goar najwyższej są cenione. Ta ryba żyje w głębokich, zacienionych, poprzecinanych wązkami dołami łożyskach; wszystkie te warunki tu się łączą: cień wysokich brzegów nigdy nie opuszcza wody, a ściśnięta rzeka wyżłobała sobie wązkie ale głębokie, pobruzdowane koryta. Najlepsze jednak miejsce do połowu jest tak zwany Werb, rodzaj wiru i katarakty około skały St. Goar, zwanej Ławą. Tutaj rybacy zarzucają wędy niewidziani przez rybę, sami zaś widzą ją przez okna i wyciągają jak tylko zadrgnie gruba nie wędy. W roku 1779 Werb dostarczył 8159 funtów łososia. Utrzymują, że od czasu zaprowadzenia parostatków, połów się zmniejszył, bo koła ciągłym szumem swoim mącą wodę, a ryby szukają do grzania się spokojniejszego miejsca. Odpowiadają na to, że łosoś należy do ryb wędrownych, które na wiosnę gromadami ciągną z morza do rzek, ale na Renie nie grzeją się chętnie z powodu zbyt wielkiej jego głębokości, owszem szukają rzek mniejszych i tam składają swe jaja. To jest pewne, że rybacy skarżyli się o to Kolońskiemu towarzystwu

statków parowych; i to nagradzając za ową szkodę, pozwoliło im używać swych parostatków do prowadzenia handlu tą rybą.

Brzegi rzeki tak się tutaj ścieśniają, że głośno wyrzeczone wyrazy na jednym brzegu, można słyszeć na drugim. W czasie marznięcia rzeki ten punkt jest najniebezpieczniejszy, kry bowiem zbierają się tutaj w wielkich massach, tamują bieg wody, która nieraz w Kaub i Oberwesel wielkie szkody zrząda. Ale nietylko kry robią to miejsce niebezpiecznym; dwa potężne wiry grożą tutaj statkom, zwłaszcza niezgrabnym tratwom. Pierwszy z tych wirów Ławą się nazywa, rzeka ściśnięta w swem wązkiem korycie z niezmierną siłą uderza na skały częścią widoczne, częścią podwodne, tworząc najniebezpieczniejszy wir. By rozbić unikać, wynaleziono sposób tak prosty, że dziwić się przychodzi, iż od razu go nie użyto. Na lewym boku tratwy umieszczają wielki i ciężki pień nazywany *psem*; tego psa w stosownem miejscu puszczają do Ławy, tylko jego głowa jest jeszcze z tratwą złączona. Z niezmierną siłą wir nim obraca i tym sposobem ciągnie tratwę na lewą stronę; ta więc płynie prosto i unika grożącego niebezpieczeństwa. Mniej strasznym ale równie niebezpiecznym jest drugi wir poniżej Ławy, zwany Werb. Lud dowodzi, że Werb pod łożyskiem Renu łączy się z Bingerloch, i że znajdowano w nim szczątki w Bingerloch rozbitych statków. W tej tradycyi, jak w tylu innych, dziś niepodobna wynaleźć prawdopodobieństwa, ani prawdy; pozostała jednak na wieki i dotąd jeszcze krąży pomiędzy rybakami. Tutajto w okolicy dzikiej, gdy chrześcijaństwo zaczęło rzucać swe nasiona w Niemczech, osiadł pobożny starzec, by rozbitkom nieść pomoc, a rybakom opowiadać słowo prawdy. S. Goar w r. 575 wznosił tutaj kaplicę swoją, a sława jego cnót rychło doszła do króla Siegberta, który ujęty skromnością świętego, chciał go zrobić biskupem Trewiru. Ale dwór świetny duchownego księcia nie przypadł dla prostoty pustelnika, opuścił więc Trewir i wrócił między swych rybaków, gardząc blaskiem i potęgą. Raz jeszcze musiał swą samotnię opuścić. Oskarżony przez zazdrosnych mnichów, bronił się przed biskupem Rusticus, wyszedł jednak zwycięzki i podziwiany z tej walki, i odtąd bez przerwy swemu powołaniu się oddawał. Umierając, kaplicę polecił opiece króla Siegberta; ten posłał dwóch księży, którzy pogrzebali zwłoki świętego i wzniesli na tém miejscu celkę i kościołek. Pielgrzymki częste do grobu św. Goara utworzyły w pobliżu miasto St. Goar. Pepin krótki, rozgniewany że niedość gościnnie

w St. Goar przyjęto jego małżonkę Bertradę, oddał celę opatowi z Prüm. Karol W. którego synowie przy grobie świętego z najzaciętszych wrogów stali się najszczerzszymi przyjaciółmi, przejęty też wdzięcznością za wyzdrowienie z niebezpiecznej choroby Fastrady swej żony, kazał wybudować nowy kościół, opatrzył sówicie i darował opactwu w Prüm.

W St. Goar można przyjemnie kilka dni przepędzić. Najmuje się mieszkanie z oknami na Ren. Koło siebie mamy dwie ruiny: Kota i Mysz. Na lewo Mysz napół zasłonięta mgłą rzeki, na prawo naprzeciw Kot, potężna wieżyca otoczona wieżyczkami. Na wzgórzu zajmuje on wierzchołek trójkąta, którego podstawę stanowi wioska Goarshauzen z dwoma starami basztami po rogach, jedną kwadratową, drugą okrągłą.

Zdaje się, że dwa stare zamczyska czatują na siebie, i wśród krajobrazu rzucają zajadłe spojrzenia, bo w ruinie okna wybite patrzą jeszcze, ale tym wzrokiem okropnym wylupionego oka. Naprzeciw na prawym brzegu, jakby gotów spokój przywrócić pomiędzy dwoma zapaśnikami, wznosi się stare kolosalne widmo zamku landgrafów heskich Rheinfels.

W St. Goar Ren przestaje być rzeką a zamienia się w jezioro, prawdziwie jezioro alpejskie, zamknięte ze wszech stron. Bawiąc w pokoju mamy przed sobą cały dzień widok Renu, tratwy długie, statki żaglowe, małe barki podróżne a wężkie, i z dziesięć parostatków, które, spiesząc tam i napowrót, przepływają nieustannie, klapiąc jak wielki pies pływający, dymiąc i szumiąc flagami. Zdała, na przeciwnym brzegu widać pod cieniem pięknych kasztanów, manewrujące armie księcia Nassau w kurtach zielonych i szarawarach białych, i słyhać hałaśliwy bęben wojowniczego księstwa. Tuż przed oknami przechodzą kobiety z St. Goar w czepcach jasno-niebieskich, podobnych do tiary zmodyfikowanej nieco silném spłaszczeniem z góry; słyhać śmiechy i paplotanie mnóstwa drobnych dzieciaków bawiących się z Renem, a dzieci nad Renem śliczne się rodzą; żadne z nich nie ma tej twarzy czerwonej i skrzywionej dzieciaków angielskich, niemieckie malcy owszem mają w twarzy coś błogosławionego, coś podobnego do starych proboszczy.

Za dwanaście groszy można Ren przepłynąć i udać się do Kota. W tejto posiadłości baronów von Katzenelbogen, zaszła w roku 1417 owa smutna historia z kapelanem von Branich. Zwaliska te zwą także



Neu-Katzenelbogen. Zbudował zamek hrabia Jan III von Katzenelbogen w r. 1393, zburzono go z rozkazu Napoleona w r. 1807. Wnętrze Kota jest zupełnie zniszczone. Nizka sala wieży, gdzie kupelan przygotował truciznę dla hrabiny, jest zamienioną w rodzaj piwnicy. Kilka krzewów winnych wije się po swych tyczkach na miejscu sali portretów. Jeden tylko pokój ma jeszcze drzwi i okno; tam mieszka człowiek dzierżawiący dochód z zamku, który opłacają zwiedzający.

Z wierzchołka Kota oko sięga aż do wiru Bank; z wysokości tarasu zamczyska pytamy się, gdzie jest ów sławny wir; przewodnik pokazuje mały fałd na wodzie, ten mały fałd, to przepaść.

St. Goar dziś miasto obwodowe a kiedyś stolica hrabstwa niższego Katzenelbogen, liczy 1700 mieszkańców zajmujących się wyrobem i handlem skór, wina i połowem łososi. Pomyślność ich wzrasta, i widać to, bo stare domy coraz bardziej ustępują miejsca nowym klatkom; pozostało jednak kilka szanownych budynków: jak dom templaryuszów i stary szpital. St. Goar należał jako lenność do panów na Arnstein, a po wymarciu tej rodziny, otrzymali ją tem samem prawem w r. 1190 hrabiowie Katzenelbogen od opactwa Prüm. Powoli jednak wyłamali się oni z władzy swych panów lennych i rządili tutaj równie jak St. Goarshauzen, nie pytając się o pozwolenie opatów. St. Goar jednak nie upadało, owszem, za czasów hrabstwa handel jego coraz bardziej się rozwijał. Przytaczamy tutaj zwyczaj nader stary, jeszcze zapewne od hanzeatyckiej ligi datujący. Każdy podróżny przybywający po raz pierwszy do St. Goar, musiał się chrzcić przy budzie celnej; nazywano to *verhanseln*. Tam ojcowie chrzestni, których sobie sam wybrał, kładli mu na szyję obrożę i pytali się, czy chce być ochrzconym z wody, czy z wina. Zwykle podróżny drugie wybierał. W takim razie składał do skarbonki dla biednych pewną kwotę, i musiał z puhara złotego spełnić trzy toasty: za zdrowie cesarza, pana lennego i stowarzyszenia. Wówczas kładli mu na głowę pozłacaną koronę, odczytywali statuta obowiązujące stowarzyszonych, dawano patent z prawem połowu ryb na Lurlej, a polowania na Bank jako lenność. Jeżeli zaś wybrał chrzest z wody, wylewano mu jej kubek na głowę. Po ukończonej ceremonii, przyjęty zapisywał wraz z datą swe nazwisko, datę przyjęcia do księgi, w której dotąd oprócz historyi tego zwyczaju, spotyka się wiele nazwisk historycznych i mnóstwo wierszy. Książęta i rycerze poddawali się temu zwyczajowi, jakkolwiek on pochodzi od kupców w St. Goar; albowiem

landgraf Jerzy II, zatwierdzając statuta towarzystwa, nie pozwalał żadnemu z kupców sprzedawać towarów w St. Goar, dopóki nie był zapisany w tę księgę; zwyczaj ten i księga doszły aż do naszych czasów.

Długo tak kwitnął St. Goar, wojna trzydziestoletnia podkopała jego pomyślność, a francuzka zupełnie zniszczyła; dopiero w ostatnich czasach podnosić się zaczyna. Templaryusze mieli tutaj swą komandoryę, jak tego dowodzą nazwy domu i placu templarskiego. Kościół katolicki odznacza się niezłemi wcale obrazami. Kości świętego Goara i bibliotekę uwieźli Hiszpanie. Pokazują dotąd ślady okopów i murów, któremi St. Goar połączony był z zamkiem Rheinfels. Hrabia Diether III, na Katzenelbogen wybudował go w roku 1219, by zabezpieczyć sobie cło które na Renie pobierał. Gdy w skutek tego chciał owo cło powiększyć, jakkolwiek sam podpisał traktat związku grodów nadreńskich, połączyło się 26 miast, by hrabiego z jego twierdzy wypędzić. Piętnaście miesięcy leżeli pod zamkiem bez skutku, ale to dało im sposobność rozszerzenia swego związku, wzmocnienia go silniejszymi prawami, poczem mogli zburzyć mnóstwo innych gniazd rozbójniczych baronów, które powznoszono nad Renem. Po śmierci hrabiego Filipa, który wiele ucierpiał przez dumę pierwszej żony swej, gdy drugą Annę zabiła trucizna podana przez kapelana zamkowego Jana von Biberich, St. Goar z zamkiem Rheinfels dostał się landgrafowi Henrykowi heskiemu równie jak wszystkie dzierżawy Katzenelbogen. Landgraf Henryk ożenił się z córką jedyną Filipa. Odtąd Rheinfels należał do Hessów, którzy w nim widzieli jedną z głównych obron Renu; trzymał się też w nim walecznie w roku 1692 pułkownik heski Goetz przeciw Francuzom pod Tallardem, który, nie zdobywszy twierdzy, odstąpić musiał. W roku 1794 jednak inny komendant zaledwie zoczył forpoczty francuzkie, poddał się natychmiast, a Francuzi później zamek wysadzili w powietrze. Sąd wojenny w Ziegentragen skazał za to pierwszego komendanta na karę miecza, drugiego na rozstrzelanie, oficerów na więzienie. Landgraf Hesen-Kaselski złagodził jednak wyrok: pierwszego komendanta wyprowadzono przed front załogi; wystąpił już pluton do rozstrzelania; wówczas zdarto mu szlify, złamano szpadę, nazwano podłym i odprowadzono do więzienia na całe życie do twierdzy Spangenberg; drugi komendant został wymazany z kontrol i skazany na pięć lat więzienia; inni na areszt forteczny.

Dziś Rheinfels to cała góra zwalisk, o dwóch lub trzech piętrach komnat, z korytarzami podziemnymi, jakby olbrzymie krety tędy przechodziły; ruiny olbrzymie; kolosalne sale sklepione, których łuk ma pięćdziesiąt stóp średnicy, siedm więzień z swemi *vade in pace*; w których woda zamarała gnija, pluskając za rzućeniem kamienia; strzelnice do dział i kusz, podobne do klatek dla dzikich zwierząt w cyrkach rzymskich, a w nich zielsko rośnie tu i owdzie. Zdaje się, że to zwalisko, to ślad wstrząśnienia ziemi. Nie ślad to trzęsienia ziemi, to ślad przejścia Napoleona. W r. 1807 kazał on w powietrze wysadzić Rheinfels.

Dziwna rzecz! wszystko runęło, ostały się tylko cztery mury kaplicy. Niepodobna przejść bez uczucia tęsknoty, tego przybytku pokoju wśród tej cytadeli w gruzach. W framugach okien czytamy dotąd te poważne napisy: *Sanctus Franciscus de Paulo vixit 1500* — *Sanctus Franciscus vixit 1526* — *Sanctus Dominicus vixit . . .* (brak roku). I tak od świętości do świętości przeszedłszy wieki chrześcijaństwa, dochodzimy do trzech majestatycznych wierszy: *Sanctus Basilius magnus episc. Cesaratae Cappadoci, Magister Monachorum orientaliu, vixit anno 372*. To tylko oszczędziła bomba i mina.

Dziś Rheinfels jest przyległością jakiegoś folwarku; kilka winorośli pnie się po murze, kilka kóz się pasie w dziedzińcach. Wieczorem cała ruina rysując się na horyzoncie, i z swemi oknami wybitymi pyszny ogrom przedstawia.

## THURNBURG, DWAJ BRACIA, BOPARD, STOLZENFELS.



a wioską Welmich pełną sadów i łąk pysznych z wyniosłą starą strażnicą, na wysokiej górze wznoszą się ruiny zamku Thurnburg. Kuno von Falkenstein arcybiskup Trewiru, zbudował wielką część wioski, rozszerzył i umocnił zamek Thurnburg, nazwał go Kunoburg, a Peterseck następnie, gdy mu przyszło oddać Wernerowi von Königstein arcybiskupstwo, którym żelazną dłonią rządził. Dumny hrabia von Katzenelbogen, ufny w swój Rheinfels, zamek ten przewał myszą, mówiąc że kot rychło mysz złowi. Ale Kuno odpowiedział, że mysz strawi kota. Mysz umiała się bronić, a hrabiowie rychło bać się jej poczęli i dali mu umrzeć w pokoju.

Zwaliska myszy są najgorszej sławy, nikt prawie ich nie zwiedza. Podróżni dlatego, że przystęp trudny a nawet niebezpieczny; dla wieśniaków pełno w nich widm zastraszających. Tam w nieprzystępnych podziemiach kryją się w dzień płomienie, które nocą pokazują się na szczycie okrągłej wieży. Ta sama wielka wieża czyż nie jest przedłużeniem studni niezmierzonej głębokości, która przewierciła całą górę aż pod poziom łożyska Renu.

W tę studnię jeden z panów na Velmich, jakiś Falkenstein, imię krwawe w legendach, a żył w wieku XIV, kazał wrzucać kogo mu się spodobało, czyto z podróżnych, czy z wasali swoich i to bez spowiedzi. Dziś te wszystkie pokutujące dusze zamieszkują zamek. Wówczas w dzwonnicy w Welmich miano dzwon

srebrny, pobłogosławiony i dany przez Welfrieda arcybiskupa mogunckiego w r. 740, pamiętnym roku, gdy Konstantyn IV był cesarzem w Konstantynopolu i w Rzymie, gdy król pogański Massillus miał cztery królestwa w Hiszpanii; gdy we Francyi panował król Klotar, później wyklęty przez Zacharyasza papieża. W ówże dzwon bito tylko na nabożeństwo czterdziesto-godzinne, gdy który z panów na Welmich był chorym niebezpiecznie. Otóż Falkensztejn, który nie wierzył w Boga ani w djabła, a potrzebował pieniędzy, zapragnął tego dzwonu. Kazał więc go zabrać z dzwonnicy i przynieść do swego zamku. Proboszcz z Welmich oburzony, udał się do zamku w komżę i stułę przybrany, poprzedzony przez dwóch chłopców mszalnych z krzyżem, i zażądał oddania dzwonu. Falkensztejn się zaśmiał głośno i zawołał: „Chcesz twego dzwonu? będziesz go miał, już cię nie opuści.“ I kazał rzucić księdza do studni z dzwonem u szyi przywiązanym, a studnię potem na 60 łokci kamieniami zasypać. W kilka dni potem Falkensztejn zachorował nagle. Wówczas astrolog i doktor, czuwający przy chorym, usłyszeli z przerażeniem wyraźny głos dzwonu wychodzący zpod ziemi. Na drugi dzień Falkensztejn umarł. Od tego czasu w dniu 18 stycznia, w rocznicę śmierci burgrafa, podziemne bicie w dzwon srebrny powtarza się co rok. Oto jedna z powieści. Dodać tu musimy, że góra, z której spada potok Velmich, jest grobem olbrzyma. Imaginacya ludzi, która w wulkanach widzi wielkie kuźnie natury, wszędzie spotyka cyklopów, gdzie tylko góry dymią; każda Etna ma swego Briarea.

Droga tu przykra ale nie jest niebezpieczną, chyba dla osób ulegających zawrotowi głowy, albo też po wielkich deszczach, gdy ziemia i skały oślizgną. Zresztą te zwaliska mają nad innemi tę korzyść, że nikt z nich zysku nie ciągnie, żaden uprzejmy przewodnik nie prowadzi cię na górę, żaden urzędowy okaziciel widm nie prosi cię na piwo. Drapiesz się, idziesz po bazaltowych schodach starych burgrafów, których ślady pozostały jeszcze tu i owdzie, chwytasz się za krzaki, za kępki ziela; nikt ci nie pomaga, nikt ci nie zawadza. Za dwadzieścia minut można być na górze u progu ruiny. Za nami pod bramą, zmienioną w niekształtny wyłom, wznoszą się strome schody zamienione w taras z murawy. Przed nami niezmierny krajobraz prawie geometrycznie, bez monotonii jednak, złożony z pokładów jednośrodkowych; u stóp wieś skupiona koło swej dzwonnicy; około wioski zakręt Renu; za Renem ponure półkole gór, a na ich szczytach tu

i owdzie wieża, stary zamek; naokoło i nad górami błękit nieba. Forteca bez dachów, zniszczona, porzywana, ma postać straszliwą i dziką; wszystkie złowieszcze legendy, pieśni i podania mogłyby się w niej pomieścić. Podajemy zresztą ścisły jej opis, jako najlepszy obraz tyłu podobnych, tak często na drodze naszej spotykanych.

Wieża okrągła, jakkolwiek u szczytu rozburzona, jest jeszcze nader wysoką. Na dwie trzecie jej wysokości wycięcie horyzontalne od mostu zwodzonego. Ze wszech stron wysokie mury z oknami bez kształtu, odznaczające jeszcze sale bez drzwi i okien. Piętra bez schodów, schody bez pokoi. Grunt nierówny, wzgórkowaty, uformowany z zapadłych sklepień, pokryty zielskiem. Samotność z troskliwością skąpego właściciela, strzeże, zamyka i broni tego, co raz jej człowiek porzucił; układa i jeży starannie na progu krzaki i zarośle najokrutniejsze, najlepiej zbrojne jałowce, pokrzywy, osty: to jest więcej kolców i pazurów jak w menażeryi tygrysów. Nad tym zaroślem smutnym jeżyna i bluszcz, ten wąż roślinności, ślizga się, czołga i za nogi chwyta przechodnia. Zresztą natura nigdy o ozdobach nie zapomina, dlatego zwalisko to jest cudnej piękności. Podobne ono do olbrzymiego bukietu, w którym zebrano rośliny wszelkiego kształtu i rodzaju; jedno z kwieciem, drugie z owocem, tamte z bogatym jesiennym liściem.

Dziwny zakątek, w którym jakiś sceptyczny wieśniak uprawia dla siebie zagonek buraków, korzystając z obawy innych. Na lewo wieża bez bram, bez okien, bez widzialnego wejścia; na prawo podziemia, których sklepienie się zapadło, zamienione w przepaść. Pyszny powiew wiatru, cudny nieba błękit pomiędzy rozpadlinami zwaliska. Z górnej sali, do której dostać się można po schodach z zielska, wspaniały widok na Ren, wzgórze, wioski. W sali ramy kominów cięte z granitu niebieskiego, w charakterze XV wieku, ślady w nich sadzy i dymu. U ołien zatarte malowidła; w górze piękna wieżyczka bez schodów i dachu, pełna kwitnących roślin, które wienicami opadają z jej szczytu. Znowu sale niskie, w nich ślady kopania w podłodze, inna sala podobnaż, w niej otwór kwadratowy prowadzący do piwnic; ślady więzienia pod basztą kwadratową, która stała naprzeciw baszty okrągłej. Tam musiało być więzienie zamku. Wielki mur naprost Renu, fossa naokoło zarosła krzakami, przystęp wszędzie trudny i męczący.





Hirzenach



Salzig



Cloister St Martin  
Cloître de St Martin

Boppard





Kester



Cloister Börglufers    Ruine    Ruine  
 Cloitre de Bornhofen. Sternberg    Liebenstein





Tuż za Welmich leży wieś Ehrental, a z Renu wylania się naprzeciw wyspa Wörth, zarosła krzewiem i sitowiem. Na lewym brzegu wioska Hirzenach z starém probostwem, kiedyś należącym do opactwa Siegburg.

Za Unter-Kestert wioską z 525 mieszkańcami stoi klasztor Bornhofen, nad którym wznoszą się dwa zamczyska: Sternberg i Liebenstein, inaczej zwane dwaj bracia. Pomiedzy zamkami widać ślady łączącego muru, który musiał dać powód do następnej legendy: Dwaj możni bracia, obdarłszy swą siostrę ociemniałą z przypadającej na nią spuścizny, poróżnili się z sobą o ten nieprawy zysk, który w kłótni wszystek marnie stracili. Pogodziwszy się jednak z potrzeby, żyli po bratersku czas jakiś. Nareszcie układ stanął pewnego dnia, że pojedą razem na polowanie i że wstający wcześniej, zasypiającego obudzi. Młodszy wstał pierwszy i widząc okiennicę u brata zamkniętą, puścił do niej strzałę z łuku; właśnie brat starszy okno otwierał; strzała poniosła mu cios śmiertelny. Zabójca opuścił swój zamek i udał się do grobu świętego na pokutę; zamki przeszły w inne ręce, a Bornhofen miała założyć siostra braci owych. Klasztor ten opuszczono w roku 1813, dlatego też mniej licznymi są pielgrzymki do tutejszego kościoła, w pięknym gotyckim stylu wybudowanego. Na przeciwnym brzegu leży Salzig, wieś tak zwana od źródła słonego, z którego jednak nikt nie korzysta; wiele tam zbierają wiśni i te wysyłają do Hollandyi. Z Bornhofen długa i piękna alea prowadzi do pięknej wioski Camp z 1200 mieszkańców, tak zwanej, ponieważ Rzymianie mieli w tém miejscu stać kiedyś obozem. Około Camp Ren się zakręca aż do Filsen i Boppard. Od St. Goar jego zakręty są bardzo częste.

Boppard jest jedném z najstarszych miast Renu. Mur wysoki je otacza, ulice są ciemne i wąskie, nie przedstawiają jednak nic malowniczego. Druzus zbudował tutaj twierdzę i nazwał ją Bodobriga, około niej skupiła się kolonia rzymska, z jej gruzów powstało miasto średniowieczne, które dziś przybiera coraz bardziej, szczególnie od roku 1839, postać nowoczesną. Kiedyś Boppard niemałe posiadało znaczenie, zwłaszcza za królów frankońskich. W średnich wiekach zostało wolnym miastem cesarskim, musiało się jednak poddać arcybiskupowi Baldwinowi Trewirskiemu, który je dostał jako lenność od cesarza Henryka VII. I tutaj mamy ślady komandoryi templaryuszów, a kroniki wspominają że ci zakonnicy rycerze

z Boppard odznaczyli się przy oblężeniu Ptolomajdy. Jeden z rodziny baronów z Boppard założył tutaj klasztor Maryenberg, wart zwiedzenia. Klasztor ten, zwany w starych dyplomatach Wysokim klasztorem Maryenberg, przyjmował tylko panny szlacheckiego pochodzenia. W r. 1220 cesarz Fryderyk II bogato go obdarował i rozszerzył; ponieważ zaś panny najznakomitszego rodu, a zwłaszcza córki Pfalzgrafów, tu się poświęcały samotności, posagi ich i dary podniosły jego bogactwo niezmiernie. W r. 1758 kościół i klasztor zgorzał, odbudowano go za 250,000 talarów. W czasie ostatnich wojen francuzkich zakonnice opuścić go musiały; kościół zburzono, klasztor zamieniono na przędzalnię bawełny; dziś w nim jest wielki zakład kuracyi wodnej, który, powiększony jeszcze kupnem klasztoru St. Marcina, mieścić może z wszelką wygodą około 500 chorych.

Od półwyspu Filsen rzeka skręca nagle ku zachodowi i dopiero koło Oberspay wraca do dawnego kierunku na północ. Oberspay, pełne ogrodów owocowych, liczy 875 mieszkańców z zamkiem Liebenek, pięknym parkiem otoczonym. Minąwszy Ober-Mittel i Niderspay, odpływamy do Braubach. To miasto dziś ma tylko 1400 mieszkańców, ale już w r. 940 stare dokumenta mówią o nim i o zamku Marka (Markusburg), jako własności hrabiów Arnstein. W roku 1288 otrzymało ono prawo wolnego cesarskiego grodu, później dostało się jako lenność hrabiemu Eberhardowi na Katzenelbogen; od jego rodziny przeszło do Hessen-Rheinfels, w r. 1632 od tych do Hessen-Darmstadt, nareszcie w r. 1802 do Nassau. Markusburg jest jedynym z zamków nadreńskich, który uniknął zniszczenia czasu. Stary ten zamek feudalny dobrze zachowany, ciekawą swą budową, ma majora komendantem, i oddział nassauskich inwalidów stoi w nim załogą. Zachowują tam jeszcze stare działa i ciekawą izbę tortur z narzędziami kiedyś do męczarni używanymi. Przez Braubach idzie droga do Ems.

Na lewym brzegu leży Rhense albo Rens z 2000 mieszkańców, sławne w historii tak zwanym krzesłem królewskim (Königsstuhl), o 400 kroków od tego miasteczka kiedyś stojącym. Dziś tylko kilka kamieni wskazuje miejsce, na którym stało owo krzesło tak ważne w wyborze książąt; dokumenta jednak zachowały nam kształt jego. Ośmiokątne kamienne sklepienie spoczywało na dziewięciu kolumnach, z których jedna we środku stała, od południa prowadziły schody z 18 stopni; wysokość jego wynosiła 16½ stóp, obwód





Filzen



Schloss Liebeneck

Osterspay



linkes Ufer.

→ L. B.

Rechts 22.



Boppart

Niedersberg

L. U.

→ L. B.

R. g. 23.



L. U.

→ L. B.

R. g. 24.



Oberespey

Niederespey





80 stóp; wewnątrz znajdowały się kamienne ławy, na których 24 osób zasiąść mogło; całość była nader prostą i bez ozdób. Tutaj nadreńscy i inni elektorowie odbywali kiedyś ważne narady; tutaj w roku 1308 porozumiewali się nad wyborem Henryka Luksemburskiego; w r. 1338 nad zawarciem pierwszego związku elektorów; w r. 1346 nad wyborem Karola IV; tutaj w r. 1400 elektorowie, odbywszy krótką modlitwę w pobliskiej kaplicy, złożyli z tronu Wencesława, „oddanego więcej jadłu i opilstwu, jak pomyślności cesarstwa;“ a koronę oddali Pfaltzgrafowi Ruprechtowi. I cesarz Fryderyk III w r. 1442, gdy spieszył na koronację do Akwisgranu, zasiadł z kurfirsztami na Königsstuhl. W r. 1485 odbyło się ostatnie posiedzenie elektorów przed wyborem Maksymiliana I. W r. 1642 Königenstuhl odnowiono; w r. 1779 naprawiono; w wojnie zaś francuzkiej zupełnie zniszczono. Punkt ten dlatego obrany został, że w nim zbiegają się granice czterech elektorstw nadreńskich: Moguncyi, Trewiru, Pfalzu i Kolonii. Moguncya posiadała Oberlanstein i zamek Laneck; Trewir rządził w Kapellen i zamku Stolzenfels; do Kolonii należało Rhense; a do Pfalzu Hessen-Kassel Braubach z zamkiem Marka. Miasta Rhense obowiązkiem było utrzymywać Königsstuhl, za to w r. 1376 otrzymało ważne przywileje, w r. 1659 przez Leopolda I potwierdzone. Na Königsstuhl także co rok w niedzielę Zielonych Świątek odnawiali mieszkańcy Rhense układ z koblenckimi, mocą którego wolno im było w Koblenz prowadzić handel na targu bez żadnych opłat. Na ten cel zjeżdżał co rok członek rady miejskiej z Koblenz, przyjmowano go butelką wina, on stojąc miał mowę, na nią mu odpowiadał burmistrz z Rhense, i układ był zawarty.

Tutaj góry coraz bardziej usuwają się od brzegów, które przybierają łagodniejszy charakter. Za Königsstuhl u wioski Kapellen wznosi się Stolzenfels albo Dumna Skała, godny tego miana. Epoka jego wybudowania niewiadoma; to pewna, że arcybiskup Arnold trewirski (od r. 1242 do 1259) kazał go ufortyfikować i rozszerzyć, i odtąd był on stolicą wielu trewirskich arcybiskupów. Wprzód jeszcze zamieszkiwała w nim Izabella, siostra Henryka III angielskiego, jako oblubienica Fryderyka II z rodu Hohenstaufów. Kroniki pełne są opisu świetności i przepychu, z jakim przyjmowano tutaj młodą narzeczoną. Do r. 1688 stał tutaj garnizon trewirski, ale następnego roku musiano Stolzenfels poddać Francuzom, podobnie jak wiele zamków nadreńskich. Ci tę ozdobę Renu zburzyli. Miasto Koblenz, do którego następnie te ruiny należały,

chciało je sprzedać; mówią, że za sto talarów można było kupić, ale nabywcy nie zgłaszali się; nareszcie Rada miejska darowała je w 1823 r. księciu pruskiemu w dniu jego urodzin; książę następca kazał naprawić i umeblować w smaku gotyckim kilka pokoi, i pozwolił pokazywać zwaliska zwiedzającym. Od tej pory Anglików kilku zapragnęło posiadać zamczysko; jeden z nich ofiarował do 1500 funt. szter. Odtąd powoli coraz więcej naprawiano ruiny, coraz więcej przywracano stan dawniejszy.

Naprzeciw Stolzenfels leży Oberlahnstein, wierny obraz średnio-wiecznych fortyfikacyj; z starymi niezniszczonymi murami, które w walce Adolfa de Nassau z Dieterem von Isemburg tak dzielny opór stały. Miasto należało kiedyś do elektora mogunckiego; ztąd datowane są dekreta detronizacji Wencesława i wyboru Ruprechta. Dziś liczy 1600 mieszkańców, a całe jego znaczenie na tem, że wody mineralne nassauskie i marmury wysyłają z jego portu Renem po Europie i Niemczech. Dalej cokolwiek nad rzeką Lahn widać ruiny zamku Lanek; kiedyś miał on być własnością templaryuszów, których dwunastu poniosło tu śmierć bohaterską, broniąc się przeciw sile przeważnej, gdy arcybiskup moguncki Piotr von Aichspalt, wypędzał ich z granic swoich. Tylko podanie jednak o tem wspomina, historia zaś milczy, równie jak o Johanitach, którzy wznieść mieli stary kościół św. Jana w pobliżu.

**KOBLENZ.**

już za wyspą Oberwörth, z za której na lewym brzegu wygląda wierzchołek góry Kuhkopf, wysokiej na 1192 stóp, bogate wille, obszerne ogrody wskazują że się zbliżamy do wielkiego miasta. To Koblenz. Na lewo na wzgórzu twierdza Aleksander, kiedyś spokojny klasztor Kartuzów; wzdłuż brzegu rozwija się miasto z pysznymi budowlami swemi; przed nami most na Renie łączący Koblenz z Ehrenbreitstein; na prawo wzgórze Pfaffendorf i niezmierne skały Ehrenbreitstein, już przez naturę w fortecę zamienione, sztuką połączone w niezdobytą całość; na dole miasto, na wzgórzach kwiatami okryte reduty i okopy zewnętrzne.

Koblenz, stolica nadprezydenta prowincyi reńskiej, zarządu prowincjonalnego, sądów wyższych i władz okręgowych, kiedyś rezydencya arcybiskupa Trewiru, leży na lewym brzegu u zbiegu Mozelli i Renu. Początek tego miasta od Rzymian, którzy kolonię swą z powodu zbiegu dwóch rzek nazwali *Confluentia* (ząd niewątpliwie dzisiejsze nazwisko); leży ono o 12 mil na południo-wschód od Kolonii, o 10 mil na północno-zachód od Moguncyi, i 70 mil od Berlina, z którym łączy je linia telegrafów; mieszkańców ma 14,000. Koblenz wraz z Moguncją jest najważniejszą fortecą Niemiec nad Renem, w połączeniu z twierdzą Ehrenbreitstein długo wszelkim atakom opierać się może. Trudno wybrać wygodniejszą na twierdzę pozycję: miasto leży w trójkącie oblewanym z jednej strony przez Ren, z drugiej przez

Mozellę. Oprócz fortyfikacyj miejskich bronią Koblenz, na prawym brzegu Mozelli twierdza cesarz Aleksander, na lewym twierdza cesarz Franciszek, na prawym brzegu Renu pokrywa je Ehrenbreitstein. Fortyfikacje wzniesli z kosztem niezmiernym, według systematu Montalemberta i Carnota, Prusacy pod kierunkiem generał-porucznika von Aster i majora inżynierów von Hühne; ich rozległość i moc budowy wzniesają podziwienie. Twierdza cesarz Aleksander składa się właściwie z dwóch twierdz: wyższej na najwznioslejszym szczycie, na 356 stóp wysokiej góry Kartuzów, zwanej Hunnenkopf, i niższej, albo twierdzy Konstantego, na Beatusberg, czyli górze St. Beata, którego ciało w r. 1018 arcybiskup Poppo tutaj sprowadził. W roku 1353 arcybiskup Hillin wybudował tutaj klasztor Benedyktynów; w roku 1314 przez arcybiskupa Baldwina zamieniony w kościół kollegialny, a w roku 1331 w klasztor Kartuzów, zniesiony za rewolucyi francuzkiej. Twierdza cesarz Franciszek, strychująca całą równinę na lewym brzegu Mozelli i miasto, leży na górze Petersberg, wysokiej na stóp 98, w tém samém miejscu, gdzie Francuzi założyli twierdzę Marceau. U stóp góry Petersberg, drzewami otoczony stoi pomnik Marceau. Raniony śmiertelnie pod Altenkirchen w d. 21 października r. 1796, tutaj umarł ten bohater 26-cio letni, płakany od swoich, uwielbiany od nieprzyjaciół, kochany i szanowany przez mieszkańców prowincyi, których wojna jego wrogami zrobić była powinna, zostawując tam niezatarte po sobie wspomnienie. W ten sposób miasto z lewego brzegu jest zupełnie zabezpieczone od ataku, z zewnątrz, jakkolwiek jego wał nie ma żadnych kazamat, a fossa tylko mur prosty; dość tam jednak strzelnic, by utrzymać silny ogień ręcznej broni; wieże zaś wznoszące się z głębi, strychują całą fossę działami. Szczególniej silne są bastiony przy Mozelbrükenthor, Löhrtohr i Mainzerthor, z których dwa ostatnie służą za kazamaty dla artyleryi i pionierów.

Cytadella Ehrenbreitstein ma swą historię osobną. Kiedyś zamek obronny, wzniesiony przez Rzymian, za Juliana nazwany wieżą Cezara. Z jego ruin Frankowie zbudowali forteczkę, którą w roku 1153 do 1160 arcybiskup Hellinus odnowił, rozszerzył i wzmocnił. Nazwiska nosił ten zamek rozliczne, raz Ehrenbrechenstein, to Hermannstein, to Herrenstein, aż doszedł do dzisiejszego. Elektor Jan, margraf badenński, w r. 1481 zamek naprawił i znowu rozszerzył; pomiędzy innemi kazał on w skale wykuć studnię na 580 stóp głęboką, które to dzieło lat 10 roboty kosztowało. W roku 1611 elektor Lotar zamek znowu

umocnił, ale ten pod jego następcą w r. 1632 dostał się w ręce Francuzów. W r. 1795 Marceau oblegał przez miesiąc Ehrenbreitstein, w r. 1797 Hohe także bez skutku strawił tu dość czasu; nakoniec w chwili zamordowania pełnomocników na kongresie rasztadzki, korpus francuzki nagle zjawił się pod fortecą, załoga nie przygotowała dość żywności, brak dał się uczuć. Wkrótce głód tak był straszliwy, że płacono za kota 7 złp., za funt konia 3 złp., za szczura 15 grajarów. Pułkownik Faber trzymał fortecę jeszcze sześć tygodni, nareszcie poddał ją 27 stycznia r. 1799.

Francuzi, stawszy się panami Ehrenbreitsteinu, pojęli jego ważność, oblegając go dwa razy napróżno, i nie tylko naprawili fortyfikacje istniejące, ale wzniesli nowe. Murowali w najlepsze, gdy nadszedł pokój lunewilski. Wówczas, nie chcąc zostawić w ręku nieprzyjawnego mocarstwa twierdzy tak ważnej, w przeciągu kilku dni zniszczyli zupełnie minami fortyfikacje Ehrenbreitsteinu.

Prusacy, ludzie porządni, gdy im oddano Koblenz w r. 1814 przedstawili Ludwikowi XVIII ogromny rachunek, i Francya zapłaciła koszta odbudowania. Nie żałowano też starań od r. 1816, i rzecz zrobiono za te pieniądze na wielką skalę. Dziś Ehrenbreitstein uważają za arcydzieło fortyfikacyi. Twierdza zajmuje całą wysokość góry i spuszcza się jeszcze z trzech jej boków ku dołowi. Naokoło, na wzgórzach Bonacker i Nöllendorf, leżą inne dwie z nią połączone, oprócz nich ku południowi czwarta, zwana Fryderyk Wilhelm. Słowem Ehrenbreitstein tak otoczony, z twierdzami cesarz Aleksander, cesarz Franciszek i mostem, jest najsilniejszą wojenną pozycją Niemiec.

Z tarasu twierdzy wspinała panorama się rozwija, widok ztamtąd na Ren, na miasto, na całą okolicę. Na lewej stronie kończy go miasto Oberwerth, w przebiegu na lewo, oko spotyka Koblenz z twierdzami: Wineburg, gdzie się urodził książę Metternich; kościół Panny Maryi z dwoma żółtymi wieżami; pałac elektorów; kościół św. Kastora, fundowany, jak niesie podanie, przez Ludwika dobrodusznego; dom kawalerów niemieckich, których pierwszym wielkim mistrzem był Walpole von Bassenheim; Mozellę z jej pierwszym mostem i Newind, gdzie Hoche przeszedł Ren 18 kwietnia 1797 r.; piramidę wzniesioną na pamiątkę przez armię Sambre i Meuse naprzeciw tego samego miejsca, w którym Cezar 18 wieków przedtem, r. 699 założenia Rzymu, też samą rzekę po raz pierwszy przebywał. Naprzeciw w górach Rubenach wznosi się wioska

Metternich, kolebka rodu i własność księcia, b. pierwszego ministra. Kiedyś zwała się Metter równie jak i rodzina, dopóki do tego nazwiska nie dodano przysłówka *nicht*. W wieku XV jeden z cesarzy niemieckich w bitwie ujrzał człowieka, który sam jeden, po ucieczce całego oddziału, opierał się jeszcze atakującym. Człowiek ten nazywał się Metter. Cesarz zapytał o jego nazwisko i wieczorem rzekł: „Wszyscy uciekli ale Metter nie“ (Metter nicht); ztąd początek nazwiska rodziny niezbyt dyplomatyczny ale waleczny.

Liczne historyczne wspomnienia wiążą się z miastem Koblenz. Druzus założył na prawym brzegu Mozelli zamek, ten dał początek miastu, które w r. 486 za zdobyciem Galii przez Franków w ich ręce przeszło. W tym zamku w roku 585 król Childebert przyjmował posłów swego siostrzeńca, króla Guntrama; ztąd wydawał cesarz Ludwik pobożny liczne swe dekreta. Tutaj synowie jego pogodzili się i rozdzielili państwo Karola Wielkiego. Koblenz wówczas (r. 843) otrzymał najmłodszy Lotar i miasto wcielone zostało do Lotaryngii. W r. 860, w kościele katedralnym św. Kastora, odbyło się zebranie duchowne, na które zjechało się trzech królów i jedenastu biskupów. W r. 1018 cesarz Henryk II darował je arcybiskupowi Trewirskiemu Poppo, i Koblenz przestał być wolnym grodem cesarskim. Arcybiskupi jednak nie mieszkali w mieście, z powodu burzliwych czasów, przenosząc pobyt w swych zamkach, dopóki Henryk von Winstingen murem miasta nie otoczył (1249) i w r. 1280 nie wybudował zamku przy moście na Mozelli. Od tej pory z powodu związku z miastami i rycerstwem nadreńskim, Koblenz wzrastało wielce w znaczenie i bogactwo. Wojna trzydziestoletnia naruszyła tę pomysłność, więcej jeszcze wojna z Ludwikiem XIV. W 1688 sam król z marszałkiem Boufflers oblegał miasto, Vauban kierował robotami oblężenia. Bombardowano przez dni piętnaście, dwie trzecie domów zburzono, mnóstwo obywateli zginęło, kościół św. Kastora nie był nawet przez bomby szanowanym, jakkolwiek, ku wielkiemu zdziwieniu Ludwika XIV, wywiesił francuzką oryflamę, jako założony przez Ludwika dobroduszego, polecając się względności. Ludwik widząc próżne swe usiłowania, odstąpił od oblężenia, nie chcąc burzyć kościoła, który wznosił jeden z jego przodków. W roku 1790, Koblenz stało się głównym siedliskiem emigracyi francuzkiej, hrabiowie Prowancyi i Artois (Ludwik XVIII i Karol X) długo tu przemieszkiwali; po zajęciu przez Francuzów, miasto winno tylko ludzkości bohaterskiego

Marceau, że nie poniosło za swą gościnność ciężkiej kary. W roku 1797 wcielone do rzeczypospolitej francuskiej, zostało stolicą departamentu Mozelli i Renu, a po r. 1815 oddano je Prusom.

W średnich wiekach Koblenz składało się z trzech części: właściwego miasta, z części w trójkącie, pomiędzy Renem i Mozellą, z której dziś ledwo kilkanaście domów, i z Mühlheim na przeciwnym brzegu Renu. Most prowadzący przez Mozellę, zaczęty w r. 1344 przez arcybiskupa Baldwina, jest niezawodnie tutaj najciekawszym pomnikiem jako arcydzieło sztuki. Długi na 500 kroków, spoczywa na 14 arkadach zbudowanych z lawy. Pod arkadami ciągną z pełnymi żaglami statki chociaż największe. Na końcach mostu i w środku, wznoszą się obronne wieże i zamek Kuifirsztów, w r. 1280 przez Henryka von Wistingen zbudowany, utrzymany dotąd dość szczęśliwie, a dziś zamieniony w fabrykę wyrobów blaszanych. Były pałac elektorów, od strony Renu szczególnie pyszny widok przedstawiający, wznosił w 1780 do 1787 r. ostatni elektor, arcybiskup trewirski, Klemens, w stylu do starożytnego zbliżonym; Francuzi zamienili go w koszary. Najstarożytniejszym i najszacowniejszym pomnikiem w tym mieście zupełnie nowożytnem jest kościół św. Kastora, zbudowany, jak podanie głosi, przez Ludwika dobrodusznego; odnowiony w wieku XIII, który teraz pełni dobrego smaku i pojęcia o rzeczy architekci Koblenz na różowo pomalowali. Wiele w nim nagrobków arcybiskupich i relikwii: pomiędzy niemi St. Goara i Stej Rycy. Ś. Ryca jest świętą małoznaną gdzieindziej, ale wysoko cenioną w Koblenz. Mieszkała ona w Ehrenbreitstein jako córka Ludwika dobrodusznego; ponieważ zaś pragnęła nabożeństwo poranne odbywać w kościele zbudowanym przez jej ojca, musiała więc przebywać rzekę. Owych pięknych mostów nie było jednak w Koblenz, święta więc pełna wiary, szła po wodzie nie zamaczawszy nóg nawet. Tak pielgrzymkę cudowną od lat kilku odbywając, pewnego razu na widok rzeki wzburzonej uraganem nocnym, uczuła strach dotąd nieznanym. Ś. Ryca wróciła na brzeg, i wzięła z pobliskiej winnicy tykę, chcąc się nią podparć. Zaledwie jednak wstąpiła w rzekę, woda stopniowo zaczęła ustępować co raz głębiej pod jej nogami. Ale wiara wróciła z niebezpieczeństwem: święta odrzuciła tykę; woda podniosła ją w górę, i tak przebyła zwykłą swą pielgrzymkę, a śladów nawet na jej sukni nie zostało.

Most na łyżwach na 1100 stóp długi prowadzi przez Ren do Mühlheim, inaczej doliny Ehrenbreitstein, miasteczka z 2500 mieszkańców; tylko sławna forteca nad niem panująca daje mu pewne znaczenie historyczne.

Ren z Koblenz do Kolonii niemniej przedstawia ciekawości: natura może mniej rozmaita, mniej zwalisk, brzegi bardziej płaskie; milkną podania; przed nami kraj żyzny, bogaty, piękny, bez tej ponurej i surowej wielkości, którą spotykamy od Bingen. Tu jednak jeszcze spotykamy Andernach, stare municipium rzymskie w gród średniowieczny zamienione, dalej siedm gór z ich podaniami, Bonn, nareszcie sławy pełną Kolonię.

Andernach jest miejsce rzadkiej piękności. Z wzniosłych wzgórzy, oko sięga siedmiu gór i szczytów Ehrenbreitsteinu. Każdy kamień budynków jest wspomnieniem, każdy szczegół krajobrazu najwdzięczniejszą całością, a jednak w Andernach pusto. Nikt tam nie przyjeżdża: Jadą do Koblenz, Baden, Manheim, gdzie tłum, gdzie zgiełk, a nikt nie zajrzy do Andernach, gdzie historia, gdzie natura, gdzie poezya.

Artonacum lub Antonianum dziś Andernach, jest jednym z siedmiu miast wziętych przez cesarza Juliana w r. 359 w czasie wyprawy przeciwko Germanom. Jego wysoka wieża i brama rzymska, jak niektórzy dowodzą, z tej są epoki; inni dają wiek XIII jako epokę wybudowania. Królowie Franków mieli tu swój pałac, którego ruiny wskazują dotąd. Mur dziś jeszcze otacza tę starą stolicę elektorów trewirskich, ale teraz broni on tylko od wiatru grządki sałaty lub brukwi, a chaty wieśniaków poufale opierają się o jego boki. Szlachetny gród ma jeszcze swoje czternaście baszt okrągłych lub kwadratowych, ale zamienionych dziś w mieszkanie biednych ogrodników; dzieci pół-nagie bawią się u stóp wież spadłemi kamieniami, młode dziewczęta plotą wesoło u strzelnic, któremi kiedyś wyglądały katapulty i kusze. Zamek broniący Andernach od wschodu, zmienił się w ruinę, a blade światło księżycy smutnie wyziera z jego wybitych i porozprządzanych okien.

O ćwierć mili od Andernach wielki obelisk ścięty z granitu niebieskiego, stawiony na sarkofagu, jest pomnikiem generała Hoche. Armia Sambre i Meuse wzniosła go swemu dowódcy jak wskazuje napis. Tak Hoche i Marceau, ci dwaj młodzieńcy, z których Opatrzność wielkich ludzi wyrobić miała, leżą niedaleko siebie na obcej ziemi.





Rechtes Ufer.

Right Bank

Rive droite 25



Marlesburg Braubach

St Martins Chapel  
Chapelle de St Martin

R.U.

R.B.

R.d. 26



Oberlahnstein

Chapel in which the Emperor Wenzel was deposed.  
Chapelle ou l'empereur Wenceslas fut dépossédé

R.U.

R.B.

R.d. 27



Horchheim

Insel Oberwerth

Niederlahnstein  
St John's Church  
Eglise St Jean

Mouth of the Lahn  
Junction de la Lahn

Ruine Labneck

Oberlahnstein



Niederspay

Brei

Ehense



Rhense

Krippe

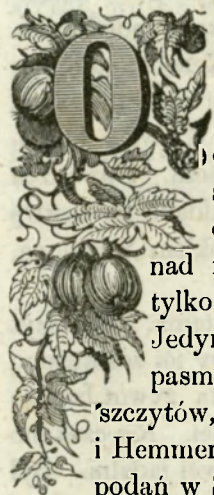
Ruine Stolzenfels  
Capellen



Capellen



## XII. NA RENIE.



Od Koblenz zmienia się charakter brzegów Renu; do Koblenz przedstawiają one różnorodność nieskończoną: jużto góry na brzegu ścieśniają się i tuż nad wodą się wznoszą, jużto malejąc odalają się od rzeki; jużto zielenią się bogatemi winnicami; jużto jako ponure skały sterczą nad falą lub bieg jej tamują. Od Koblenz do Kolonii opuszczają one brzeg zupełnie, sinieją tylko na odległym horyzoncie, a ich miejsce zajmują rozległe łąny zbożem i ogrodami pokryte. Jedynym wyjątkiem w tym pasie jest tak zwane Siedmiogórze (Siebengebirg), ostatnia granica pasma idącego od Turynii, Fuldy i Wetterau. Nazwa ich od siedmiu nad inne'wznioślejszych szczytów, zwanych: Stromberg, Drachenfels, Wolkenburg, Grosser Oelberg, Breibrich, Lewenberg i Hemmerich; każdy z tych szczytów miał kiedyś swój zamek, a dziś ma zwalisko i podanie; w ogóle podań w Siedmiogórze nie brakuje.

Nim zawiniemy do Bonu, po drodze naszej na brzegach posianych wioskami, willami, zwaliskami, podaniami, podróżni najwięcej zwiedzają ruiny Drachenfels. Mieszkańcy miasteczka Königswinter letnią porą ciągną zyski pewne z tych zwalisk, najmując podróżnym osły do wjazdu na górę, przewodnicząc im, służąc za opowiadaczy. Po trzech kwadransach jazdy w górę piękną ścieżką, spotykamy pierwszy szczyt, na nim oberżę dość przyzwoitą i piramidę kamienną, wystawioną przez pospolite ruszenie pruskie na pamiątkę

wojny 1813 r. Z tego pierwszego tarasu ścieszka wysypana piaskiem, prawie wygracowana jak w angielskim ogrodzie, prowadzi do zwalisk. Przybywamy najprzód do wielkiej wieży kwadratowej, dość trudnego przystępu, do której się wchodzi szczeliną muru; z tej przykre przejście, nawet niebezpieczne; prowadzi do wielkiej baszty okrągłej, bez sklepień i dachu, zupełnie pustej. Ta baszta leży na samej skale smoka (Drachenfels); nazwisko smoczej skały, nadało tu podanie z czasów Juliana Apostaty. Smok niezmiernej wielkości, okryty nieprzebitą łuszczką, obrał sobie mieszkanie w jaskini, którą pokazują dotąd wpół drogi od zwalisk. Troskliwie dbał on o swój obiad, a jeżeli mu nie przyprowadzono jeńca lub zbrodniarza jakiego w naznaczonej godzinie do miejsca zwykłego, schodził na dolinę i tam pożerał pierwsze lepsze spotkane individuum.

W owych to właśnie czasach, Julian Apostata z rzymskimi legiami obozował nad Renem; żołnierze rzymscy, którzy nie mieli wcale ochoty być pożartymi, korzystali z wojny w okolicy, by potworze na obiad zarabiać bez kosztu. Pomiędzy jeńcami wreszcie znalazła się raz dziewczyna tak piękna, iż dwóch centurionów pokłóciło się o jej posiadanie; a że obaj byli równego uporu, dobyli na siebie miecza. Dowódca legii pogodził ich, stanowiąc, że dziewczyna do żadnego należeć nie będzie, ale zostanie oddaną na pastwę smoka. Podziwiano bardzo mądrość tego wyroku, niektórzy porównali go nawet z wyrokiem Salomona, i postanowiono się uraczyć widokiem smoczego obiadu.

W dzień naznaczony odprowadzono dziewczynę ubraną w bieli, uwieńczoną kwiatami, na szczyt dzisiejszego Drachenfels; przykuto ją do dębu jak Andromedę do skały; żądała ona tylko, by jej zostawiono ręce wolne, i uważano za stosowne nie odmawiać jej tak małej łaski. Poczwarą prowadziła żywot bardzo regularny, obiadując, jak się dotąd w Niemczech obiaduje, pomiędzy drugą i wpół do trzeciej. Nie czekano też chwili. O zwykłej godzinie wyruszył smok od siebie, napół pełznąć, napół lecąc do swej jadalni. Był zaś tego dnia jeszcze bardziej zjadliwy i głodny. W wilią, czyto przypadkiem czyto naumyślnie, podano mu jakiegoś starego barbarzyńskiego jeńca, skóra i kości tylko, zresztą łykowały i niesmaczny; wszyscy spodziewali się podwójnie ciekawego widoku z powodu tak podniesionego apetytu obiadującego. Poczwarą sama, widząc jak piękny kąsek jej czeka, zasyczała z zadowolenia, machnęła łuszczytym ogonem w powietrzu i rzuciła się ku dziewczynie.

Ale gdy już miał ją zębem dosięgnąć, dziewczyna wyjęła z zanadru krucyfiks i zasłoniła się nim od smoka. Była chrześcianką. Na ten widok smok rozwścieczony, że nic zrobić nie zdoła, sycząc, z przestraczem, schował się do jamy.

Poraz pierwszyto, mieszkańcy widzieli smoka uciekającego, dlatego jedna część spieszyła odkuć ocaloną, druga zaś, nabrawszy odwagi w miarę przestraczu smoka, założyła wstęp do jamy drzewem, to drzewo oblano siarką, żywicą, i zapalono. Przez trzy dni góra pociła się jak wulkan, przez trzy dni smok syczał, wił się w swej jamie, nareszcie syk ustał; poczwara została upieczoną.

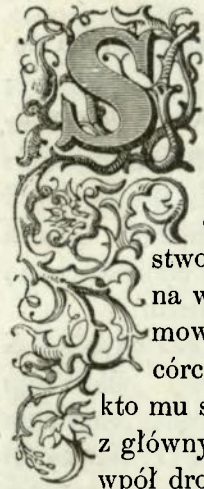
Dotąd jeszcze widać ślady płomienia, a sklepienie zwęglatego kamienia za dotknięciem w proch się rozsypuje.

Podobny cud poparł wielce rozszerzenie wiary chrześciańskiej. Pod koniec IV wieku na brzegach Renu niemało już było Nazarejczyków, jak ich zwano. Na miejscu ołtarza smoka wzniesiono kaplicę.

Inne podanie, starsze daleko, przypisuje Siegfriedowi zabicie smoka.

### XIII.

## LEGENDA O ROLANDZIE.



Słyniejszym jednak naokoło jest przecież Rolandsek i Nonnenwerth; pielgrzymka do tych miejsc nietylko jest potrzebą wszystkich czułych dusz i kochających serc, mieszkających po obu brzegach Renu od Szafhuzy do Rotterdamu, ale ściąga jeszcze o 20 mil wokoło mnóstwo nieszczęśliwie wzdychających lub stęsknionych. Roland waleczny płynął Renem, spiesząc na wezwanie stryja swego, który gotował się do wojny z Saraceny. Stary hrabia Rajmond przyjmował rycerza, a dowiedziawszy się, jak sławnego palatyna w domu ugaszcza, rozkazał pięknej córce swej Hildegondzie służyć gościowi do stołu. Dotąd dla Rolanda było wszystko jedno, kto mu służył, byle wino było dobre a obiad obfity. Wyciągnął więc rękę z puharem, gdy wtem z głównych drzwi weszła Hildegonda z rostruchanem napełnionym i zbliżyła się do rycerza. Ale wpół drogi oczy Rolanda i Hildegondy spotkały się, oboje drżąc zaczęli tak potężnie, że połowa wina poszła na ziemię, tak z winy gościa jak z winy cześnika.

Roland miał na drugi dzień wyjechać, ale stary hrabia Rajmond prosił, by u niego tydzień zabawił. Roland czuł, że obowiązek wzywa go do Ingelheim, do stryja, ale piękna Hildegonda spojrzała nań, i został. Przez ten tydzień kochankowie nie rzekli ani słowa o swej miłości, a jednak siódmego dnia wieczorem Roland poprowadził Hildegondę do kaplicy. Przybywszy przed ołtarz, oboje ukłękli odrazu. Roland rzekł:



„Nie będę miał innej żony jak Hildegondę“ a Hildegonda rzekła: Boże! przysięgam, że jeżeli jego oblubienicą nie zostanę, Twoją będę.“

Roland pojechał. Rok minął, Roland cuda waleczności wyprawiał, wieść o jego zwycięztwach doszła od Pireneów do brzegów Renu; potem nagle zaczęto mówić tajemniczo o wielkiej klęsce przy Ronceveaux.

Pewnego wieczora rycerz jakiś prosił o gościnność w zamku hrabiego Rajmonda; wracał z Hiszpanii, dokąd się udał z cesarzem. Hildegonda ośmieliła się wyrzec imię Rolanda. Wówczas rycerz opowiedział, jako w wąwozie Ronceveaux, otoczony przez Saracenów, widząc się jeden przeciw stu, uderzył w róg, by przyzwać cesarza na pomoc, a uderzył z taką siłą, że chociaż cesarz był na milę oddalonym, chciał wrócić przecież. Ale Ganelon go wstrzymał, a głos rogu ustał, bo to było ostatnie wysilenie walecznego palatyna. Potem rycerz widział Rolanda, jak bił swym mieczem Durandal o skały, by ten miecz dzielny nie dostał się w ręce niewiernych; ale miecz ów, który skały krajał, siekł granit, nie krusząc się.

Wówczas Roland utkwił go w skale i, opierając się na nim z siłą, złamał go. Potem padł ranami okryty obok miecza swego, wymawiając nazwisko kobiety, która się nazywała Hildegonda.

Córka hrabiego Rajmonda nie wylała ani jednej łzy, nie wydała żadnego krzyku; tylko powstała bledsza jak śmierć, i zbliżywszy się do ojca, rzekła doń: ojcze mój, wiesz co Roland przyrzekł mi, co ja mu przyrzekłam. Jutro za twym pozwoleniem wstąpię do klasztoru w Nonnenwerth.

Ojciec spojrział na córkę, wstrząsając smutnie głową, bo w duchu rzekł do siebie: toż Roland dla ciebie wszystkiem a ja czyż jestem niczem — ale przypomniawszy sobie, że był chrześcianinem wprzód jak ojcem, odpowiedział: Niech się stanie wola boża we wszystkiem. I nazajutrz Hildegonda wstąpiła do klasztoru. A że pragnęła jak najspieszniej odbyć postrzyżyny, bo jej się zdawało, że im dalej od ziemi, tem bliżej będzie Rolanda, więc biskup dyecezyi, który był jej krewnym, pozwolił, by czas nowicyatu do trzech miesięcy skrócono. Po trzech miesiącach postrzyżyny się odbyły.

Tydzień nie minął a jakiś rycerz zażądał gościnności w zamku hrabiego Rajmond. Hrabia schodzi do bramy; rycerz zatrzymał się zdziwiony, bo hrabia przez trzy miesiące zestarzał się o 10 lat. Wówczas rycerz, uchyliwszy przyłbicę, zawołał: „Ojcze dochowałem słowa, czy Hildegonda dochowała swego?“

Starzec wydał krzyk rozpaczny. Rycerzem był Roland. Rany jego wprawdzie były głębokie, ale nie były śmiertelne; długo chorował ale nareszcie mógł udać się w drogę do swej narzeczonej. Starzec oparł się na mieczu Rolanda, potem zbierając odwagę, nie odpowiedział ani słowa, zaprowadził go do kaplicy, tam klęknął przed ołtarzem i rzekł: Módlmy się.

-- Umarła — rzekł Roland.

— Umarła dla ciebie i dla świata. Czyż nie przyrzekła, że będzie oblubienicą twoją albo nieba? Dotrzymała swej przysięgi.

Na drugi dzień Roland wyszedł pieszo, zostawiwszy konia i oręż w zamku hrabiego, i udał się w góry. Wieczorem doszedł do jednego ze szczytów wznoszących się nad rzeką, u stóp ujrzał zieloną wyspę a na niej klasztor zakonnice Nonnenwerth. W tej chwili zakonnice śpiewały Pozdrowienie Anielskie; pomiędzy tych wszystkich głosów wznoszących się do nieba, jeden głos trafił wprost do jego serca.

Roland przepędził noc rozciągnięty na skale, na drugi dzień z brzaskiem zakonnice śpiewały wigilie, i znowu posłyszał ten głos, który wstrząsał całą duszę jego. Postanowił wówczas wybudować chatę pustelniczą w tym miejscu, by przynajmniej nie oddalać się od tej, którą kochał.

Koło południa zakonnice wyszły z klasztoru i rozbiegły się po wyspie; jedna z nich oddaliła się od towarzyszek i siadła na brzegu pod płaczącą wierzbą. Zasłona jej była spuszczone, ubiór nie różny od innych, a jednak Roland ani na chwilę nie wątpił, że to była Hildegonda.

Przez dwa lata, co rano i co wieczór, Roland słuchał tego głosu tak mu drogiego, przez dwa lata codzień o tej samej godzinie też sama zakonnica siadała w témże miejscu, chociaż z każdym dniem szła coraz wolniej. Nareszcie jednego wieczora głosu nie usłyszał. Na drugi dzień rano głosu milczał. Nadeszło południe, Roland czekał napróżno. Zakonnice jak zwykle rozbiegły się po wyspie, ale żadna z nich nie siadła na brzegu pod wierzbą. Około zmierzchu, cztery zakonnice wykopały, pracując naprzemian, grób u stóp wierzby; gdy grób był gotów, Roland usłyszał znowu śpiew, któremu brakowało najpiękniejszego głosu, i cały zakon wyszedł, towarzysząc trumnie; w której leżała dziewica z czołem uwieńczonem kwiatami, z twarzą bladą i odkrytą.

Pierwszy to raz od lat dwóch Hildegonda pokazała się bez zasłony.

W trzy dni, pasterz któremu koza się zbłąkała wdrapał się aż na szczyt góry. Znalazł Rolanda siedzącego u wejścia pustelni, plecy jego opierały się o ścianę, głowa na piersi spadła. Roland nie żył.

Legenda ta ma wiele podobieństwa z legendą o rycerzu Toggenburg, ale to wcale nie wstrzymuje pielgrzymki do Rolandseck. Klasztor leży na pięknej i wielkiej wyspie na Renie zwanej Rolandswerth, albo Nonnenwerth. Założył go roku 1117 Fryderyk I arcybiskup koloński; w wojnie trzydziestoletniej został on zniszczonym. Więcej jeszcze uszkodziła go wojna z r. 1773, ale w r. 1775 odbudowano go daleko wspanialej. Dziś jest on własnością prywatną, i przy grobie Hildegondy wiernej, w jej klasztorze, spotykamy wcale dobrą oberżę. Naprzeciwko na lewym brzegu Renu, na wysokiej bazaltowej skale widać ruiny pustelni Rolanda.

Wprost przyładka Unkelbach, leży wioska Unkel z łomami bazaltu, którego kolumn kilka wznosi się z wód Renu jak resztki zalanego miasta. Z drugiej strony, powyżej miasta, many Remayen, starożytne Regomayon Rzymian. Elektor palatyn Karol Teodor postanowił poprowadzić tamtędy wielką drogę, którą Bonaparte w r. 1801 dokończył. Szczęście wieków wprzód Marck Aureliusz miał tę samą myśl i dokonał tej samej pracy. Dlatego też robotnicy spotykali wszędzie ślady dróg rzymskich, kamienie miliarne, kolumny, monety, napisy, trumny, słowem: dość było iść starożytną linią, by dzieła dokonać.

Przemijając ważne podania, których tutaj niewyczerpane skarby, wspomnimy jeszcze przed przybyciem do Kolonii o jednej z ciekawości Renu. Sąto tak zwane wielkie tratwy. Wielka tratwa to prawdziwa góra drzewa płynącego. Miewa ona około 800 do 900 stóp długości, a 50 do 60 szerokości. W ten sposób płynie wioska cała, ludność, trzody. Ta wioska składa się z 10 lub 12 chatek, ta ludność z 500 do 600 wioślarzy lub robotników, te trzody z kilkudziesięciu wołów i około stu baranów. Tratwy przewożą drzewo dębowe z Moguncyi do Dodrecht. Życie dla całej tej ludności uregulowane jak na okręcie. O szóstej np. rozpoczyna się kolacya, sternik wydaje hasło krzykiem, wielki kosz wnoszą na żerdzie. Oprócz sternika i kilkunastu ludzi, którzy długiemi żerdziami kierują tą pływającą masą, każdy porzuca swą robotę, spieszny z glinianą miską do kotła, w którym warzy się jakie tysiąc porcyj zupy i pożywa gdzie miejsce zajmie.

Ta ludność pływająca na wielkich tratwach, zjada w ciągu swego przepływu od Moguncyi za biegiem rzeki około 50,000 funtów chleba, około 20,000 funtów mięsa, ze 12,000 funtów sera, z 15 centnarów masła, z 40 worków jarzyn, z 600 miar piwa i 10 wielkich barył wina. Zręczny tylko sternik może kierować tą pływającą masą, wśród zakrętów, wirów i skał Renu; niekiedy części tratwy odrywają się, czasem nawet cała tonie; dlatego też mieszkańcy nadreńscy mówią, że właściciel tratwy potrzebuje trzech kapitałów: jednego na łądzie, drugiego na ziemi, trzeciego na wodzie. Tratwa podobna ma wartości około 400,000 zł. reń. (1,600,000 zł. pols.). Zachowują jako wielkie wspomnienie, nazwisko sternika, który przeszło 50 podobnych tratew przeprowadził z Moguncyi do Dodrecht bez przypadku; nazywał się Zund von Rudesheim.



24/10/1760

← R. B. Bank

→ Rive droite



Insel Oberwerth

Horchheim

25/7

← R. B.

25/7



Fortress of Ehrenbreitstein  
Forteresse Ehrenbreitstein

Thal Ehrenbreitstein

Heights of Pfaffendorf  
Colline de Pfaffendorf

Pfaffendorf



Rolandseck

Drachenfels <http://rcin.org.pl> Nonnewerth



Magdalenwerth

Fort Alexandre

Die Carthause  
La Chartreuse



Coblenz

Mouth of the Mosel  
Junction de la Moselle



COLOGNE





#### XIV.

### KOLONIA.

---



Moguncy do Koblenz podróżnik namiętny chętniejby płynął czółnem jak parostatkiem, by korzystać z każdego widoku, z każdego wspomnienia; ale od Bonu do Kolonii rad płynie szybkim biegiem, bo brzeg jednotonny nie ńęci, a tylko w odległości góry zapowiadają gdzieś dalej milsze dla oka okolice. Za to nagradza widok Kolonii rozwijającej się w półkole nad Renem, z portem w jej wnętrzu wypełnionym statkami, czółnami, gondolami, z jej wieżami licznymi, z starym murem ją opasującym, z nową fortyfikacją, domami starożytnej formy, z wieżami i basztami, z ożywionym ciągle mostem, nakoniec z olbrzymią i nad wszystkim panującą katedrą. A widok ten nie od dziś dopiero. Już Petrarca w r. 1333, który podróżą po oświećszej Europie pragnał rozerwać boleść swą po stracie Laury, Petrarca, który znał Rzym wspaniały, Wenecyą bogatą, Genuę piękną; który tak długo w południowej Francyi przebywał, woła w uniesieniu: „Cudo w barbarzyńskich krajach! Jak pięknym jest widok miasta! jaka godność mężczyzn, jaka piękność kobiet.“

Kolonia winna swój początek obozowi rzymskiemu. Agryppa uważał pozycyę za stosowną i stanął obozem na wzgórzu, które się rozciąga od kościoła Panny Maryi do Ś. Maryi na Schodkach. Obozy rzymskie były jak prawdziwe twierdze, z wałami, fossami, wieżami. Chatki lekliwe które wzniosły się na przeciwnym

brzegu, przeniosły się za Ren pod obóz rzymski, żądając jego opieki. Przykład ten znalazł naśladowców i obóz już był otoczony wieńcem chat, gdy na szczęście przyszłego miasta, Agrypina przysłała tam na świat w czasie wojen Germanika. Klaudyusz z tego powodu posłał tam kolonię rzymską, ta obozowi dała postać miasta, miasto nazwano *Colonia Agripina*. Pod opieką Agrypiny żony Klaudyusza, miasto opasało się wkrótce silnymi murami, wewnątrz wzniesiono pyszne świątynie, szkoły, praetoria, amfiteatr i kapitol, o którym jeszcze Petrarca tak mówi: „Widziałem kapitol na wzór naszego; tylko że tam w zebraniu senatu radzą o pokoju lub wojnie, tutaj zaś młode dziewczęta i chłopcy śpiewają Panu hymn wieczorny. Tam słyszymy brzęk kajdan, szczęk broni i jęk więzionych; tu panuje spokojność, radość i wesele; tam wjeżdża wojenny, tutaj spokojny tryumfator.“ Kolonia szybko wzrastała jako stolica Galii nadreńskiej a później drugiej prowincji germańskiej, i współzawodniczyła z Rzymem, którego pretoryanów szaleństwa coraz bardziej wpływu na całość państwa pozbawiały. W Kolonii ogłoszono cesarzami Trajana i Vitteliusa, i Rzym uznać ich musiał; tu Sylwanus ogłosił się cesarzem, ale go rychło własni jego stronnicy zamordowali.

Dotąd jeszcze po ruinach odkryć można ślady kwadratowego obwodu nakreślonego przez Rzymian, tych potężnych budowniczych. Cesarz Konstantyn zbudował most pyszny; łuk jego zapadł się, ale przy małej wodzie, widać jeszcze jego słupy. Około roku 220 napad Gotów zagroził Kolonii, z tąto epoką łączy się podanie 11,000 dziewic. W roku 355 wpadła w ręce Franków, odebrał ją wprawdzie Julian i wzmocnił Walentynian; ale następnie musiała się dostać Allemanom; nareszcie przyłączoną do państwa Franków zyskał Teodoryk. W r. 508 Klowis został ogłoszony królem w Kolonii. Pepin był księciem Kolonii i nim został królem Francji, Karol Wielki często miasto nawiedzał; Otton Wielki przyłączył go do cesarstwa niemieckiego, nadał mu wielkie przywileje i oddał go pod opiekę swego brata Brunona, arcybiskupa Kolonii, księcia Lotaryngii.

W średnich wiekach aż do końca XIV, Kolonia, ciągle powiększając się, była najpotężniejszą podporą Hanzy. Wówczas mogła sama wystawić 30,000 zbrojnych, liczyła 11 kościołów kolegialnych, 58 klasztorów, 19 kościołów parafialnych, 46 kaplic, 2500 księży, na przeszło 150,000 mieszkańców. Nareszcie uniwersytet założony w 1389 r. Dlatego Kolonia była miastem arcykatolickim, to wywołało jej wielkość, to

spowodowało jej upadek. Za wystąpieniem Lutra prześladowania gwałtowne zmusiły 1400 obywateli bogatszych przenieść się do miast okolicznych Elberfeld, Düsseldorf, Mühlheim, Akwisgranu i t. d., które to miasta wkrótce podnieśli bogactwem swem i przemysłem. W 1794 roku została miastem rzeczypospolitej francuskiej. Do tego dnia, to jest przez wieków XVI, zachowała patrycyat rzymski, togi konsulów i liktorów z ich fasces. W r. 1814 oddano ją Prusakom; ci do 23 starych wież dodali nowych siedm, uzupełniając w ten sposób obronę miasta.

Dziś Kolonia liczy 64,000 ludności, i jest stolicą pruskiej prowincyi Julichu, Clewe i Bergu, posiadając wszystkie korzyści, jakie przypadają podobnym stolicom.

Taką jest historia Kolonii w treści. Tyle świetności, taka wielkość pozostawiła po sobie ślady w pomnikach; z tych pierwszemi katedra kolońska i ratusz.

Przed nami w fantastycznych półcieniach zmierzchu, pomiędzy tłumem domów niskich, z dziwacznyemi frontami, wznosi się niezmierna masa czarna, pełna wieżyczek i ostrych iglastych ozdób. Cokolwiek dalej na wystrzał łuku, piętrzy się inna masa, również czarna, mniej szeroka, lecz wyższa, rodzaj kwadratowej twierdzy, z boków podparta czterema z nią złączonemi wieżami, na szczycie której rysuje się dziwacznie zgięta belka, jakby olbrzymie pióro kasku spadające z czoła starej wieżycy. Ta czarna masa to prezbiterium, ta wieża olbrzymia, to początek dzwonnicy; to prezbiterium i ten początek dzwonnicy, to katedra kolońska.

Ów czarny kontur, który się zdaje jako pióro czarne zwieszone z szczytu ponurego gmachu, to ów potężny symboliczny żuraw, który z wierzchołka tej wieży mówi przechodniom, że ta rozpoczęta świątynia ukończoną będzie, że ten kawałek kościoła i ten kawałek wieży, oddzielone w tej chwili taką odległością, połączą się kiedyś z sobą i żyć będą wspólnem życiem; że marzenie Engelberta von Berg, stawszy się budynkiem za Konrada von Hochsteden, za jeden lub dwa wieki będzie największą katedrą w świecie, i że ta Iliada niedokończona swoich Homerów oczekuje.

Z dzwonnicy dotąd zbudowano tylko dół i pierwsze piętro, złożone z kolosalnego sklepienia, a już masa wybudowana, równa się wysokością najpiękniejszym wieżom gotyckim. Jeśli kiedykolwiek projektowany szczyt wzniesionym zostanie na tej hyperbolicznej massie kamienia, nawet Strasburska wieża, uważana

dotąd za najwyższą, niczem będzie obok, i zapewne nigdzie nie znajdziem dzwonnicy nawet niedokończonej, któraby się mogła porównać z kolońską, wzniosłością i potęgą swej budowy.

Nic jednak tak do zwaliska podobnego nie znajdziem, jak budowla zaczęta. Jerzyna, głóg, łamiakamień, pomurnik, wszystkie krzewy lubiące gryźć tynki, i szpony swe zapuszczają pomiędzy kamienie, pną się po portyku. Człowiek budować nie skończył, a natura niszczyć już zaczęła. Słychać szum cichy, jaki wiatr wydaje przechodząc przez te niezliczone drobne lasy, puszczające swe gałęzie na wszystkich rogach owej budowli. Promień księżycy oświeca pod sklepieniem tłum posążków wykończonych troskliwie, świętych i aniołów, trzymających księgę na kolanach i czytających w niej, lub każących z ręką wzniesioną. Tak więc jedni nauczają drudzy uczą się. Cudowny prolog do kościoła; bo kościół to słowo, które się stało kamieniem, brązem, marmurem. Wesoła lepianka gniazd jaskółczych, miesza się tu wszędzie, łagodząc wdzięcznie tę surową architekturę. Gdy promień skryje się za chmurę, przed nami tylko potężna arkada gotycka mająca osmdziesiąt stóp cięciwy, bez daszku, bez osłony, przeryniająca wieżę z góry na dół, którą oko wnika w ciemne wnętrze dzwonnicy. W tym oknie rysowały się zmniejszone w perspektywie, okno naprzeciw otwarte również, którego rozety i ramy, jakby piórem kreślone, odrzynają się na tle jasnym i metalicznym zmierzchu. Nic bardziej melancholijnego, nic bardziej dziwnego jak ten mały a misterny łęk jasny w tym wielkim łęku czarnym.

Takie wrażenie robi katedra kolońska przy zmierzchu, przy świetle dnia wrażenie inne.

Ten kościół, arcydzieło architektury, stoi na placu otoczonym starymi rudkami. Tam mnóstwo żebraczków otacza cię. Przed zajęciem Francuzów, w Kolonii było podobno 12,000 żebraków, każdy z nich miał prawo w spadku zostawić dzieciom swym miejsce stałe, na którym żebrał. Ta instytucja znikła. Nasz wiek zniósł żebractwo dziedziczne tak jak zniósł fideikomisa. Dziś dziady proszalne nie mają co zostawić swej rodzinie.

Przebywszy batalion żebrzących, wchodzimy do kościoła.

Przed nami las słupów, kolumn, kolumneczek splecionych u dołu palisadą z desek, gubiących się u szczytu w chaosie sklepień rozmaitej krzywizny, wielkości i wysokości zrobionych z tarcic; światła mało,

bo te sklepienia niskie nie pozwalają sięgać oku dalej jak na stóp czterdzieści; na lewo cztery czy pięć wielkich okien, schodzących od drewnianego sufitu do posadzki z kamienia, jak szerokie smugi topazu, szmaragdu i rubinu; dalej mnóstwo drabin, sznurów, bloków, lewarów; z głębi dochodzi głos poważny śpiewaków kościelnych i księży, połamany o sklepienia; piękna melodia psalmów, z których tylko wyrazy dobiegają, woń kadzideł, które trybularz śle do ołtarza; organ płaczący cudownie z niewypowiedzianą słodyczą; na pierwszym planie zgrzyt pil o tarcice, skrzyp bloków, stuk głuźący młotków o deski. Takie pierwsze wrażenie przedstawia katedra kolońska.

Ta katedra gotycka zjednoczona z warsztatem cieśli, to złączenie życia pełnego wspaniałości, spokoju, ciszy, tych śpiewów, modlitwy i duchownego zbudowania z owym hałasem, stukiem narzędziami, rubaszną rozmową i śmiechem, zrazu dziwaczne wywiera wrażenie, bo dziś już nie widzimy wznoszonych kościołów gotyckich. Powoli jednak otrząsamy się z niego, wspomniawszy że to wszystko nader prosta wynikłość. Żuraw na wieży ma więc swe znaczenie. Rozpoczęto na nowo dzieło przerwane w r. 1499. Cały ten hałas cieśli i kamieniarzy jest koniecznym. Dalej budują katedrę Kolonii, i, jeżeli Bóg da, skończoną zostanie. Bodaj tylko skończyć ją umianę.

Te słupy dźwigające drewniane sklepienia, to nawa rozpoczęta, która ma połączyć prezbiterium z dzwonnica.

Okna są z czasów Maxymiliana, malowane z potężną i wspaniałą przesadą epoki odrodzenia niemieckiego. Pełno tam owych królów i rycerzy, z twarzą surową, postawą pyszną, olbrzymiem piórem, z misiurką ponurą, uzbrojonych jak katy, spiętych jak hajduki, pierzatyh na głowie jak koń turniejowy. Obok nich żony klęczą w kątach szyb, z twarzami lwic i wilczyc. Promień słońca przechodzi przez szkło, rzuca ogień w ich źrenice, ożywia je. Jedna z tych szyb przedstawia genealogią Matki Boskiej. Na dole obrazu olbrzym Adam leży na grzbiecie w ubraniu cesarskim; z jego łona wychodzi wielkie drzewo, na którego gałęziach widzimy wszystkich ukoronowanych przodków Maryi: Dawida z harfą, Salomona zamysłonego; u szczytu drzewa, na ostatniem polu ciemno-niebieskiem, Dziewica Marya z dzieciątkiem.

W kościele samym na lewo, misterna mała ambona, nader dowcipnie pomysłana i pracowicie cięta z czarnego dębu; dalej krata chóru, rzadki wzór wytwornej ślusarki piętnastego wieku; naprzeciw wchodu

piękna trybuna o niskich arkach i grubych pilastrach, podobno wzniesiona dla Maryi de Medicis, jaśnieje i błyszczy.

Na wstępie do chóru, w wykwintnej szafce rococo, prawdziwa włoska Madonna, obciążona złotem i kosztownością. Pod tą bogatą Madonną z naszyjnikami z pereł, z branzoletami z szmaragdów, jako antyteza, gruba skarbona dla biednych, wyżłobiona w wieku XII, otoczona wieńcami łańcuchów i kłódek żelaznych, utkwiona w klocu granitowym, ledwo ociosanym.

Chór i wnętrze tego sławnego prezbiterium stanowią dotąd prawie całą katedrę kolońską, ponieważ brak szczytu dzwonnicy, a sklepienia nawie.

W tym chórze pełno bogactw. Tu zakrystye pełne misternie wyrobionych szaf; tam kaplice obfite w surowe i poważne rzeźby, obrazy wszelkiej epoki, groby wszelkich kształtów; biskupi z granitu spiący na szerokich płytach; biskupi z kamienia na łożu dźwiganem przez processyą zapłakanych figur, biskupi z brązu leżący na podłodze, biskupi z drzewa klęczący przed ołtarzami; jenerałowie z wieku XVI oparci o swe marmury; rycerze z czasu krucjaty z swym psem wiernym u nóg; statuy apostołów w złocistych sukniach, konfesyonały dębowe z kolumnami kręconemi, poważne stale kanoników, chrzcielnice gotyckie w kształcie trumien, mensy ołtarzy obciążone posągami; piękne szyby malowane; obicia wedle rysunku Rubensa; kraty żelazne wyrobione jakby przez Quintyna Metzisa; szafy, z drzwiami malowania i złocień pełnemi, jakby ręki Franc Florisa.

Wszystko to jednak, prawdę powiedziawszy, haniebnie zniszczone. Budują wprawdzie katedrę kolońską zewnątrz, ale któż ją tak niszczy wewnątrz? Niema nagrobku, któregoby statua była nieuszkodzoną; każdą kratę pokrywa rdza, gdzie kiedyś było złoto. Kurz, proch, śmieci wszędzie. Muchy znieważają szanowną twarz arcybiskupa Filipa von Hensberg. Ów olbrzym spiżowy spiący na ziemi, zwany Konrad von Hochstetten, który mógł wybudować tę katedrę, nie może dziś zgnieść pajaków, które go pokrępowywały tysiącami nitek jak lilipuci Gulliwera.

Najwięcej czczonym pomnikiem w katedrze, jest sławny grób trzech króli. Jestto dość duża izba z marmuru najrozmaitszych kolorów, zamknięta gęstą kratą brązową, dziwnej i cudacznej architektury, razem

niedorzecznie lekkiej i męcząco ciężkiej. Grób ten jest za ołtarzem głównym w najpiękniejszej kaplicy prezbiterium. Oko uderzają najprzód trzy turbany w rysunku kraty, w górze płaskorzeźba przedstawiająca adoracją magów, pod spodem dwuwiersz łaciński, mówiący że tu spoczywają ciała trzech króli, i że ztąd nie zabrano dla umieszczenia w innem miejscu. Za kratą widać bogaty złoty relikwiarz bizantyński, jaśniejący arabeskami, dyamentami, perłami.

Fryderyk I z rodu Hohenstaufów, wzięwszy szturmem i zrabowawszy Medyolan, zabrał relikwie trzech króli, które tam się znajdowały, darował je Rejnaldowi arcybiskupowi kolońskiemu; ten postanowił wybudować kościół godny tak wielkich świętości, i w r. 1170 wzięto się do dzieła. Robotnicy kościoła zabili biskupa, bo ich zbyt świeckimi środkami do pracy naganiał, i relikwie umieszczono w innym kościele; wzamian za świątynię sprawiono im bogaty relikwiarz z sztab złota i kamieni drogich, nad głowę każdego z świętych królów umieszczono korony z złota, brylantów i pereł, ważące po 6 funtów, a nad koronami rubinami wypisali ich nazwiska. Jak tylko wnętrza katedry można było użyć, przeniesiono ich także; a elektor Jan Henryk wznosił im dzisiejszą kaplicę. Tam zostawali w pokoju i czei aż do r. 1794, w którymto czasie kapituła kolońska, obawiając się wielce Francuzów, wyniosła się do Amsberg w Westfalii, i zabrała z sobą relikwie i relikwiarz. W r. 1804 wróciło wszystko do Kolonii, ale ci królowie stracili swe korony i znaczną część najpiękniejszych klejnotów; kapituła żyła lat 10 ogryzając powoli relikwiarz. Dotąd jednak wiele pięknych rzeczy znajdujemy w relikwiarzu, a szczególnie pyszne kamce. Obok relikwiarza stoją inne resztki bogactw kapituły: miecz elektora, pastorał pyszny i cudownej roboty kielich, w chórze cztery świeczniki wysokie na 10 stóp z brązu. Podanie mówi, że w tych świecznikach jest ósma część złota, bo w czasie topienia kruszcu, kanonicy wrzucili worek dukatów.

Katedra kolońska widziana w dzień, pozbawiona tej fantastycznej wielkości, jaką zmierzch daje przedmiotom, traci na wzniosłości. Linie są zawsze piękne, ale rysują się zbyt sucho. Może dlatego, że dzisiejszy architekt z zaciętością lepi i maże to szanowne prezbiterium. Nie należy zbyt odnawiać starych kościołów. W tej pracy która zmniejsza linie, chcąc je pewniejszymi zrobić, tajemnicza niepewność konturu ginie. W tej chwili więcej warta jest dzwonnica zaczęta, jak prezbiterium dokończone.

Następne podanie łączy się z budową tej katedry: Arcybiskup Engelberg, zwany świętym, pierwszy miał myśl wzniesienia jej, ale dopiero Konrad von Hochsteden w r. 1245, wykonać ten zamiar postanowił. Wezwał więc pierwszego architekta miasta i polecił mu wznieść kościół, któryby wspaniałością przewyższał wszystkie dotąd wzniesione. Na ten cel oddał mu na rozkazy skarbiec kapituły, najbogatszy w świecie, i łomy kamienia na Drachenfels. Architekt prosił o rok zwłoki, by mógł przez ten czas zwiedzić Francję, Anglię i Niemcy, biskup na to zezwolił. Po roku, artysta wrócił jeszcze mniej pewny siebie. Pojmował on myśl świętego zadania. Wiedział, że kościół powinien mieć dwie wieże, bo chrześcijanie przy modlitwie powinni wznosić obie ręce do nieba; że powinien mieć dwanaście kaplic, na pamiątkę dwunastu apostołów; formę krzyża, by wierni nie zapominali o znaku odkupienia; że chór ma być cokolwiek więcej w prawo jak w lewo nachylony, bo Chrystus, umierając, głowę na prawe ramię skłonił; że wielki ołtarz ma być oświetlony przez trzy okna, na pamiątkę Trójcy Świętej, od której wszelkie światło. Ale to była tylko dusza pomnika, należało jej nadać formę i ciało, to jest widzialne oddanie myśli religijnej, tak potężne w wiekach średnich, że wywołało całe pokolenie z granitu. Tejto formy szukał architekt w dzień, w nocy, wszędzie, a szukał napróżno. Gdy tak zatopiony w myślach chodził, spotkał go szatan w postaci starca, a wyśmiawszy dostatecznie jego plany, przypominające to katedrę Strasburską, to kościół w Reims, to Kantorbery, pokazał mu plan pełen nowych pomysłów i śmiałości fantastycznej. Architekt ułożył się z duchem złego, że za ten plan duszę mu odda, i o północy w naznaczonym miejscu sprzymierzeniec piekielny stawił się. Ale pobożny artysta Kolonii, nauczony od zakonnika i opatrzony w relikwie niezmiernej potęgi, wyrwał plan, cyrografu nie podpisał, a szatan uciekł, przyrzekając że go pochwyci, nateraz bowiem pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł mu nic zrobić, bo żaden grzech nie ciążył na duszy artysty. Relikwie bowiem broniły tak potężnie tylko czystego od grzechu człowieka. Więc król piekieł oddalił się z groźbą, że kościół nie zostanie skończonym, a imię architekta zaginie, jeżeli tylko ten popadnie w grzech śmiertelny. Szatan nie zaniedbał więc używać pokusy, ale wszelkie wysiłenia przez lat siedm nie powiodły się. Architekt potrafił uniknąć sześciu grzechów głównych, pomimo wszystkiej pracy szatana. Już sądził, że potrafi dokończyć dzieła ku chwale bożej i pamięci swojej; już ze wszech stron spieszone, chociaż jedna wieża wznie-



sioną była tylko na stóp 21, druga na 140, zapowiadając, jakie to będzie dzieło, gdy dojdzie do wysokości 500 stóp, jak je wznieść zamierzył; już wszystko zapowiadało szczęśliwy koniec, a architekt lękając się groźby szatana, postanowił kratę otaczającą wierzch wieży, ułożyć z liter swego imienia; gdy go jednego dnia zawołano do arcybiskupa. Arcybiskup otrzymał między innymi rzeczami w darze, plan świątyni w Jeruzalem, który sam Jehował zesłał Salomonowi, i pragnął go pokazać swemu artyście. Ten obejrzał z uwagą plan niebieski, i rzekł w końcu z wzgardą: „Wolę mój.“ Szatan rozśmiał się tuż przy nim, bo grzech pychy wrócił mu nareszcie moc jego. Tego wieczora architekt na wieży plan swój rozbierał, gdy nagle o północy z burzą straszliwą szatan się zjawił; już porywał grzesznika w swe szpony, ale ten kilka kroków w tył postąpił, i miał czas jeszcze zrobić akt skruchy. Szatan zepchnął go z wieży, lecz aniołowie unieśli go do nieba. Ale przepowiednia piekielna się sprawdziła; kościół nie został dokończony, imię architekta w niepamięci pozostało, i dotąd nikt go odkryć nie zdołał.

Najstarszym kościołem w Kolonii jest kościół Panny Maryi na Capitolium; wybudować go miała Plektruda, żona Pepina a matka Karola Martela, którego kamienny posąg widać jeszcze dziś wmurowany w ścianę. Wyższy chór kościoła jest z daty 8 wieku, inne części są późniejsze, ponieważ kościół z Normanami wiele ucierpiał. Dziś tę szacowną starożytność, mądrzy architekci miejscowi pomazali pięknym różowym i zielonym kolorem, bo mur za staro im wyglądał. W kościele tym jest kilka dobrych obrazów, pomiędzy innymi śmierć Maryi przez Alberta Dürera. Kościół świętej Urszuli jest pięknym pomnikiem czystej gotyckiej architektury. Podanie o nim mówi, że onego czasu, gdy z Anglii ruszyło do Bretanii 30,000 rycerzy i 60,000 plebejuszów, spieszyło za nimi 11,000 dziewic szlacheckich i 30,000 nieszlacheckich z nimi zaręczonych. Co się zrobiło z nieszlacheckimi, legenda nie wie. Był to koło roku 220; owym pannom świętym przewodziła święta Urszula, córka królowej Daryi. Święta Urszula zaś spieszyła za swoim narzeczonym, księciem Koman. Wiatr jednak wpędził jej okręt na Ren, który wówczas nie gubił się w piaskach, ale wpadał w morze, i tak zapędził aż do Kolonii. Aquilinus prefekt rzymski, który zarządzał Kolonią w imieniu cesarza Septyma Sewera, z wielką ciężą przyjął święte dziewice; ale te nie bawiły długo, bo święta Urszula chciała udać się do Rzymu. Popłynęła więc Renem aż do Bale, gdzie Pantulus, inny prefekt rzymski

odprowadził ich do Rzymu. Tam Ś. Urszula była chrzczoną po raz drugi przez papieża Cyryaka, który, poznawszy jej świętość, postanowił podobnie jak Pantulus towarzyszyć do Kolonii. Zaledwie jednak tam przybyli, na Kolonią uderzyli Gotowie. Mieszkańcy zachęteni przez Komana i Pantulusa bili się potężnie, ale powiedzianem było, że tym razem Gotowie zwyciężą, i tysiącom dziewic dali do wyboru, śmierć albo małżeństwo z nimi, poczem wymordowali z okrucieństwem 10,999 dziewic. Jedna tylko Kordula schronić się zdołała, ale i ta, by dopełnić liczby, sama oddała się w ręce barbarzyńców. Kości świętych dziewic później zebrano, i zniesiono do kościoła, w którym wysokie znajdują uczczenie. Oprócz tych relikwii, kościół ma dwa ciernie z korony, kawał krzyża, część sukni, i jeden z dzbanów, w których w Kanaan, Chrystus wodę w wino przemienił.— Najgodniejszym następnie widzenia kościołem jest kościół S. Piotra, tak dla starożytności swej, jak dla sławnego obrazu Rubensa, przedstawiającego ukrzyżowanie S. Piotra. Rubens darował go kościołowi, ale święci ojcowie niezbyt znawcy, niewielką na to zwracali uwagę. To ubodło Rubensa i dawał 28,000 koron, by mu zwrócili jego darowiznę; podobna ofiara otworzyła oczy zakonnikom. Dziś arcydzieło czczonem jest według jego wartości.

Po kościołach, uwagę podróżnego zwrócić powinien ratusz miasta Kolonii. Leży on niedaleko katedry. Jeden z najdawniejszych zlepków budowli rozmaitego czasu, kawałków rozmaitego stylu, jak to spotkać można jedynie w starych gminach, które w ten sposób budowały sobie wszystko, prawa, obyczaje, zwyczaje. Dziwnie to też ów budynek stanął, raczej przez nagromadzenie jak budowanie; powoli rósł stopniowo i rozszerzał się bez planu regularnego nakreślonego zawczasu, wszystko wznoszono w miarę potrzeb rodzących się.

I tak ratusz Kolonii, w którego fundamentach znajdziemy pewno piwnice rzymskie, około 1250 r. był tylko poważnym i surowym budynkiem z gotyckimi arkadami. Następnie przekonano się, że potrzeba wieży dla dzwonu alarmowego, dla stróżów nocnych. Wiek XIV wznosił piękną wieżę, razem feodálną i mieszczańską. Dalej pod Maxymilianem, wesoły podmuch odrodzenia wstrząsnął ponure liście katedry; jakaś potrzeba wykwińtości i ozdób czuć się dała, a ławnicy Kolonii uczuli potrzebę przystrojenia ratusza. Sprawdzili więc z Włoch jakiego architekta, ucznia Michała Anioła, i przystosowali do czarnej facyaty z XIII wieku pyszną bramę tryumfalną. W kilka lat potem potrzeba im było przedsiönka do spaceru, i wybudowali

świetne galerye z tyłu domu, pod arkadami, wspaniale zdobne herbami i płaskorzeźbą, a których za kilka lat nikt nie zobaczy, bo im pozwalają w gruzy się rozpadać. Nakoniec pod Karolem V, zapotrzebowali wielkiej sali na licytacye, na zebrania obywateli, wybory, i wzniesli wprost swej wieży bogaty gmach z cegły i kamienia, pełen smaku. To wszystko razem zbierane przez wieków cztery, zestarzałe czasem, obciążone wspomnieniami i podaniem, skupione i połączone przypadkowo w sposób jak najbardziej oryginalny i malowniczy, stanowi ratusz Kolonii.

Z wierzchołka ratuszowej wieży, Kolonia jak wszystkie miasta nad rzeką szeroką i do przebycia niełatwą, ma formę łuku, którego cięciwę rzeka stanowi. Dachy są z łupku, ściśnięte pomiędzy sobą, spiczaste, ulice wazkie. Krzywizna czerwonawa murów z cegły widna nad dachami, ścisła miasto jakby pasem przypiętym do rzeki, z jednej strony przez Thurmchen aż do pysznej wieży Bayenthurm, z pomiędzy blanków której kamienny biskup Ren błogosławi. Od Thurmchen ku Bayenthurm, miasto rozwija pół mili okien i facyat patrzących na rzekę. Z środka tej linii piękny most na łyżwach, zgięty za prądem, przeprowadza przez rzekę i łączy tę wielką masę czarnych budynków Kolonią zwanych, z tą grupą domostw białych, zwaną Deutz. Zpośród tej ciemnej masy dachów, wieżyczek, poddasz pełnych kwiatów, wyziera i strzela ku niebu, nie licząc katedry, dwadzieścia siedm kościołów; pomiędzy temi cztery kościoły romańskie, godne swą wielkością i pięknnością być katedrami: Ś. Marcina na północy, Ś. Gereona na zachodzie, świętych Apostołów na południu, Panny Maryi Kapitolińskiej na wschodzie.

Miasto całe drga i żyje w swych szczegółach, most pełen przechodzących i powozów, rzeka pokryta żaglami, u wybrzeża las masztów. Na wszystkich ulicach lud rojem krąży, wszystkie okna mówią, wszystkie poddasza śpiewają. Tu i owdzie zielone bukiety drzew lekko pieszczą te czarne domy i stare pałace z kamienia z XV wieku z długimi fryzami z owoców i kwiatów rzeźbionych, na których wesołe siadają gołębie, rozmaicą jednotonność dachu z łupku i frontów ceglanych. Około tego wielkiego grodu, handlowego swym przemysłem, militarne go pozycją, portowego rzeką, rozwija się we wszystkich kierunkach rozległa i bogata płaszczyna, niżona ku Holandyi, zakończona na północno-zachód szczytami historycznego Siedmiogórza, cudownem gniazdem legend i powieści. W nocy z przeciwnego brzegu miasta, z swemi szczytami

i stu wieżami czarnemi, ostro odcina się na bladawem tle zachodu. Na lewo olbrzym Kolonii, wysoki szczyt Ś. Marcina, z dwoma wieżyczkami, naprzeciw ponure prezbiterium katedry z tysiącem ostrych wieżyczek, jako jeź kolosalny, skulony, nad rzeką, któremu dwie lampy zapalone u dołu jak oczy świecą. Naokoło cisza i harmonijny szmer rzeki.

Dziś gród germański znikł bez śladu, gród Agryppy zniknął, miasto Ś. Engelberta stoi jeszcze. Ale jak długo stać będzie? Świątynia wzniesiona przez świętą Helenę runęła lat temu tysiąc; kościół arcybiskupa Anno runie wkrótce. Rzeka strawi miasto. Z każdym dniem jaki stary kamień, jakie dawne wspomnienie, jaki odwieczny zwyczaj odrywa tarcie 20 parostatków. Miasto bezkarnie nie leży nad wielką arterią europejskiego żywota. Kolonia, młodsza od Solury i Trewiru, dwóch najstarszych grodów stałego ładu, przerozdziała się i przemieniała trzy razy, pod gwałtownym prądem idei, które ciągną w górę rzeki od miast Wilhelma Oranii, w dół od wiosek Wilhelma Tella, z boków niosąc myśl germańską od Moguncyi, idee Francyi od Strasburga. Dziś czwarta klimakteryczna epoka objawia się dla Kolonii, duch pozytywizmu i utilitaryzmu przenika ją i trawi; nowość wkrada się ze wszech stron w labirynt jej gotyckiej architektury; ulice nowe tną w samo serce jej starych ulic gotyckich, smak nowoczesny ku wielkiej radości tytkarzy rozsiada się. Groby arcybiskupów rozpadają się w gruzy w tej katedrze, której budowę prowadzi dalej próżność nie zaś wiara. Wieśniaczki odziane szkarłatem, i przystrojone srebrem i złotem, ustąpiły miejsce kapelusзовym gryzotom; dziś spada ostatnia cegła romańskiego kościoła św. Marcina, na tem miejscu założą jaką złoconą kawiarnię. Omnibus przebywa most na łyżwach, i za 12 groszy przewozi z Kolonia Agripina do Tuitum. Niestety! stare grody wszędzie giną.

KONIEC.













200

